Nr. 5. Poznań, dnia 2-go lutego 1913 Rok XVII.

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . 2,— z odnoszeniem do domu . . . 2,12 pod opaską . . 3,50

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38

Telefon Nr. 397.

OGŁOSZENIA: od wiersza drobnego 30 fen.

Tygodnik polityczny i literacki, illustrowany.

Rosya tryumfuje.

Podczas gdy w Europie rozgrywa się ostatni akt dramatu tureckiego i Turcya, ten wróg dziedziczny caratu rosyjskiego, kończy żywot jako potencya europejska — akcya ratunkowa wszczęta ze strony młodotureckiej według wszelkich ludzkich obliczeń nie zdoła bowiem odwrócić ostatecznej klęski tureckiej — szczęśliwa Rosya na drugim końcu świata odniosła nowy tryumf nad innym wrogiem historycznym, który ongiś bez porównania straszniej zaciążył nad krajami carów wielkorosyjskich, aniżeli to mogła uczynić Turcya już jako upadające państwo wdzierająca się w krąg wydarzeń historyi rosyjskiej.

Mowa tu o Mongolii.

Przez dwa i pół wieku, od roku 1224—1480, znosił naród rosyjski straszne jarzmo Dżengischana i jego potomków i ściśle biorąc dopiero z wzejściem gwiazdy Romanowych, których trzechwiekowego panowania jubileusz państwo białego cara w roku bieżącym święci, osłabła potęga mongolskich chanów krymskich i kipczackich tak dalece, iż plaga mongolska mogła być uważana za zwyciężona. Wprawdzie już około r 1500 staje się chanat kazański zawisły od Moskwy, gdy chan krymski zburzył państwo hordy złotej, lecz jeszcze w r. 1571 musiała Rosya znieść najazd Tatarów krymskich, którzy spalili ograbioną Moskwę i 100 tysięcy ludzi zapędzili w niewolę. Był to ostatni napad tatarski.

Od tego czasu coraz szczęśliwiej występowali Moskale przeciw tej dziczy pogańskiej i z biegiem czasu potrafili ją podbić i ujarzmić.

Obecnie zagarnęła Rosya właściwą ojczyznę Dżengischanowych hord: Mongolię, tworzącą nominalnie wciąż jeszcze część państwa chińskiego.

Stało się to po cichu, bez rozgłosu i bez rozlewu krwi na mocy układu zawartego w Urdze (3. listopada z. r.) pomiędzy przedstawicielem Rosyi Dordżiewem, a miejscowym chutuchtą, głową duchowną w połowie z narodowo usposobionych mnichów budyjskich, w połowie z nomadyzujących pasterzy i handlarzy bydła składającej się ludności mongolskiej. Układ wspomniany przyrzeka Mongołom pomoc przeciw zwierzchniczym Chinom i daje Rosyi w zamian protektorat nad Mongolią.

Mieszkańcy tegoż kraju, obejmującego obszar sześć razy tak wielki jak państwo niemieckie, a liczący tylko 5 milionów głów, nie bardzo zdają się być podobni do swych wojowniczych i zdobywczych przodków. Ciemnota i lenistwo uspasabia ich znakomicie do spełnienia roli biernego narzędzia, posłusznego każdej energiczniejszej ręce.

Fakt, że w chutuchcie urgaiskim, nałogowym opoju, na którego zarówno rubel jak gorzałka rosyjska magiczny wywiera urok, upatrują „wcielenie bóstwa“ i za najwyższego swego uważają duchownego i politycznego przywódcę — dostatecznie charakteryzuje ich poziom moralny i umysłowy. Tak tedy pozyskawszy raz chutuchtę, mogli Rosyanie jego głowie pozostawić dalszą agitacyę, za protektoratem rosyjskim. Wywiązał się on ze zadania pod każdym względem zadowalająco. Pozyskał boowiem dla swych celów całą zachodnią Mongolię, a także szereg chanatów położonych w Mongolii wschodniej i środkowej, czyli w kraju, który od dawien dawna Japonia uważa za swoją sferę interesów.

Główną sprężyną całej tej zmyślnej intrygi był znany Buriata Dordżiew, zaufany rosyjski na dworze innego „wcielenia bóstwa“, tybetańskiego Dalai Lamy w Lhassie, a zwierzchnika chutuchty urgajskiego.

Robocie tej dopomagała wódka i rubel rosyjski, a szła jej na rękę tradycyjna nienawiść Mongołów do podległych im ongiś Chińczyków, którzy znów ze swej strony spoglądają z pogardą na barbarzyńską ludność mongolską, nie zapominając równocześnie wyzyskiwać jej do krwi przez lichwiarskie praktyki finansowe na wielką założone skalę. Zamieszki rewolucyjne w Chinach grę tę również w znakomity sposób ułatwiły i uprościły.

Tak tedy przybyło do Petersburga poselstwo mongolskie, by złożyć carowi dary, a zarazem przedłożyć szereg

żądań normujących dalszy stosunek mongolsko-rosyjski i określających bliżej wzajemne prawa i obowiązki. Z żądań tych tylko bardzo mała część spełnioną została. Wszystko co w jakibądź sposób wydawało się Rosyi za niewłaściwe, wyperswadowano oczarowanym przepychem kultury petersburskiej i blaskiem carskiego dworu delegatom. Mongolia otrzyma instruktorów rosyjskich i rosyjską broń, także rosyjskie pieniądze. Dwóch wielkich kupców irkuckich, panujących nad handlem mongolskim, udzieli Mongolii pożyczkę w zamian za przyznane sobie koncesye górnicze i inne ważne gwarancye na polu podatkowem. Pożyczką tą administrować będzie mający być przez nich w Urdze założonym bank mongolski narodowy, który otrzyma prawo bicia monety i wypuszczania obligów państwowych.

Chiny oczywiście protestują przeciwko protektoratowi rosyjskiemu w Mongolii i — jak donoszą telegramy — wolwują myśl siłą zbrojną przymusić Mongolię do zachowania wierności. Gdyby do tego przyszło, byłoby to niczem innem tylko wojną chińsko-rosyjską. Pytanie, czy rząd chiński zdecyduje się na tę ostateczność, czy raczej podobnie jak Turcy w podobnych przypadkach nie zechce wynaleść formułki umożliwiającej Rosyi zagarnięcie kraju bez zbyt dotkliwego upokorzenia Chin. Jestto tem bardziej prawdopodobne, o ile Chiny na pomoc zewnętrzną liczyć w tym przypadku nie mogą, a wojna z Rosyą wywołałaby na porządek dzienny rozliczne inne konflikty. Tak np. z wybuchem wojny chińsko-rosyjskiej stałoby się groźne niebezpieczeństwo konfliktu z Japonią, która starałaby się uratować dla siebie Mongolię wschodnią. Także apetyty angielskie na Tybetanię doznałyby znacznego zaostrzenia. Ze strony francuskiej zaś groziłby Chinom zabór prowincyi Jynan, położonej na pograniczu francuskiej kolonii Tonkinu.

Zresztą rozwój spraw prędzej czy później we wyżej zaznaczonym kierunku się potoczy. Konkurujące ze sobą o wpływy na dalekim wschodzie państwa, nie przyjmą milcząco tak kolosalnego rozrostu Rosyi, lecz wytężą wszystkie siły, by także dla siebie urwać kawał ziemi z olbrzymiego dziedzictwa chińskiego. Nie zadługo usłyszymy prawdopodobnie o wzmożonych zabiegach Japonii, celem zagarnięcia Mongolii wschodniej, a także Anglia nie omieszka podwoić swych starań celem uzyskania protektoratu nad Tybytem, czyli — jak się w Anglii mówi — do przymuszenia Chin do uznania „autonomii“ tybetańskiej.

Tak tedy protektorat rosyjski nad Mongolią zdaje się być niczem innem jak przegrywką do przyszłego rozbioru państwa niebieskiego. Mongolia zaś będzie właśnie tym krajem, na którego terenie rozegra się walka rozstrzygająca pomiędzy białą a żółtą rasą. Widmo tej walki zbliża się ogromnemi krokami i to, co się obecnie w Azyi centralnej dzieje, jest wyraźną zapowiedzią, że rozprawa ostatecznie odbędzie się wcześniej, niż się tego zazwyczaj spodziewano. Sądzić należy, że po likwidacyi kwestyi mahometańskiej w Europie, czyli po wypędzeniu Turków do Azyi, przyjdzie kolej na walną rozprawę z rasą żółtą...

Zaiste, żyjemy w czasach wielkich, ciężarnych w epokowe wydarzenia historyczne...

Przemysł polski a niemiecki w miastach W. Księstwa Poznańskiego.

I.

Pruski Urząd statystyczny wydaje dla prasy specyalne pisemko, tak zw. „Korespondencyę Statystyczną“. Z pisma tego czerpią gazety wiadomości statystyczne o rozwoju ludnościowym, handlu eksportowym, cenach towarowych, o stanie urodzajów itp.

Pod koniec roku zeszłego podało pismo to szereg danych co do liczby polskich i niemieckich przedsiębiorców przemysłowych i handlowych w miastach W. Księstwa Poznańskiego. Pisma codzienne polskie podały o tej sprawie krótką tylko wzmiankę, przesłaną im przez pewne biuro korespondencyjne. Sprawa wydaje się nam jednak tak ważną, że zamierzamy jej więcej uwagi poświęcić, tem bardziej że wyżej wspomniane pismo statystyczne dla publiczności nie jest dostępne.

Ostatnie liczenie ludności według zawodów (tak zw. „Berufs- u. Betriebszaehlung) odbyło się 12 czerwca r. 1907. Liczenie to wykazało w W. Księstwie Poznańskiem 69.306 przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Jak teraz „Korespondencya Statystyczna“ podaje, miało 44.375 z tych przedsiębiorstw siedzibę w miastach. Chociaż Księstwo ma tak ogromnie dużo miast i miasteczek, to widzimy jednak, że przeszło jedna trzecia wszystkich przedsiębiorstw, oczywiście najdrobniejszych, istnieje po wsiach; są to z większych cegielnie, gorzelnie, młyny, a poza tem liczni kramikarze, karczmarze, kowale, stelmachy, szewcy, krawcy, murarze itp.

O tych przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych na wsi niczego nowego się nie dowiadujemy. Natomiast w miastach stwierdzono narodowość właściciela każdego przedsiębiorstwa, by się przekonać, jakie postępy Polacy już na polu przemysłu i handlu poczynili. Stwierdzono, iż z 44.375 przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, naliczonych r. 1907 w miastach Księstwa, było własnością Polaków 20.797, czyli 46.87 procent.

Na pierwszy rzut oka wygląda to dla nas bardzo pomyślnie, szczególnie jeżeli wspomnimy, iż według ostatniego spisu ludności (w r. 1910) ludność polska w miastach Księstwa stanowiła również tylko 48,23 proc. Ponieważ jednak przemysłowiec i kupiec miejski nie żyje tylko z ludności miejskiej, lecz w wielkiej części też i z wiejskiej, dlatego też nasz udział w przemyśle i handlu nie powinien być tylko równy naszemu udziałowi w liczbie ludności miejskiej, ale stosować się też do liczby naszej ludności wiejskiej. Na wsi zaś stanowi ludność polska 67.57 procent, a w porównaniu do tego liczba przedsiębiorstw jest jeszcze bardzo mała.

Jeszcze wiele niekorzystniej przedstawi się dla nas sprawa, jeżeli uwzględnimy wielkość poszczególnych przedsiębiorstw. Przekonamy się wtedy, że tylko w najdrobniejszych przedsiębiorstwach Polacy są równie silnie reprezentowani jak Niemcy, natomiast w większych przedsiębiorstwach Niemcy mają bezwzględną przewagę. Przewaga niemiecka wzrasta równomiernie z wielkością przedsiębiorstw.

Najmniejszą formą przedsiębiorstwa przemysłowego lub handlowego jest tak zw. przedsiębiorstwo jednostkowe (Alleinbetrieb), t. zn. przedsiębiorstwo, w którem pracuje tylko właściciel sam bez czeladników, uczni, robotników i pomocników i bez wszelkiej siły motorowej. W tych najdrobniejszych przedsiębiorstwach mają Polacy skromną przewagę, — było ich 10.650, a Niemców 9.558. Do tej kategoryi należą przeważnie mali rzemieślnicy, jak szewcy, krawcy, żyjący z reparatur, mali kramikarze itp. Nie wiele więc znaczy, że tu posiadamy większość, bo te drobne przedsiębiorstwa to w wielkiej części tylko proletaryat przemysłowy i handlowy.

Skoro przejdziemy do kategoryi średniego rzemieślnika i kupca, już się

stosunek zmienia na naszą niekorzyść. Do tego rodzaju przedsiębiorstw zaliczamy te, które coprawda pracują bez pomocników i uczniów, ale posługują się jakąśkolwiek siłą motorową. Takich przedsiębiorstw naliczono niemieckich 224, polskich 218. — Dalej przedsiębiorstw zatrudniających 2 osoby było niemieckich 5.481, polskich zaś 4.824. Wreszcie przedsiębiorstw z 3 osobami: niemieckich 3.245, a polskich 2.771. — Razem pracowało w tego rodzaju przedsiębiorstwach 30.479 osób w niemieckich, a 28.829 osób w polskich. Przedsiębiorstwa więc tej wielkości wykazują już znaczną przewagę na korzyść niemiecką; przewaga ta nadwyżkę przedsiębiorstw polskich w poprzedniej kategoryi prawie w dwójnasób wyrównuje.

Jeszcze znacznie gorzej przedstawia się rzecz w przedsiębiorstwach zatrudniających 4 do 20 osób. Liczymy tudotąd większych rzemieślników, kupców i mniejszych fabrykantów. Podział na narodowości był następujący:

Przedsiębiorstw:

wielkości	niemieckich	polskich
4— 5 osób	2,093	1,375
6—10 „	1,553	674
11—20 „	651	199
razem	4,297	3.248

Tu widzimy już ogromną przewagę po stronie niemieckiej. Przez liczbę przedsiębiorstw przewaga ta nie uwydatnia się jeszcze dosyć wyraźnie, lepiejby się zaznaczyła, gdybyśmy liczbę osób w tych przedsiębiorstwach zatrudnionych porównać mogli. Jednakże komunikat urzędu statystycznego liczby osób zatrudnionych nie podaje, nie można ich też, jak w poprzedniej kategoryi, obliczyć. Zadowolić się zatem musimy obliczeniem przypuszczalnem, opierającem się na prawdopodobieństwie, iż w przedsiębiorstwach podanych zatrudnia się przecięciowa liczba osób, np. w 651 wzgl. 199 przedsiębiorstwach z 11—20 osobami przecięciowo 15, w 1.533 wzgl. 674 z 6—10 osobami przecięciowo 7,5 itd. W ten sposób stwierdzimy, iż w 4.297 przedsiębiorstwach niemieckich pracowało przypuszczalnie 30.700 osób, w 3.248 polskich zaś 14.150; czyli że mierząc wielkość przedsiębiorstw tego rodzaju liczbą zatrudnionych osób, polskie przedsiębiorstwa stanowiły tylko 32 procent przedsiębiorstw tej kategoryi, więc ani jedną trzecią.

Zupełnie niekorzystnie przedstawia się dla nas stosunek w przemyśle fabrycznym i wielkim handlu. Zaliczamy tudotąd wszystkie przedsiębiorstwa zatrudniające więcej niż 20 osób. Stosunek tu był następujący:

Przedsiębiorstw:

	niemieckich	polskich
21— 50 osób	425	112
51—100 „	168	32
101—500 „	95	16
ponad 500 „	6	4
razem	694	164

Niemieckich przedsiębiorstw było więc przeszło cztery razy tyle co polskich. Ale jeszcze gorzej rzecz się przedstawia, jeżeli stosunek ten uwydatnimy za pomocą liczby osób zatrudnionych, obliczając ją w wyżej podany sposób. Stwierdzimy wtedy, że w 694 wielkich przedsiębiorstwach niemieckich pracowało przypuszczalnie 62.000 osób, natomiast w 164 przedsiębiorstwach polskich tylko około 14.300 osób. Z wielkiego przemysłu i handlu więc nie wiele więcej niż jedna piąta jest w ręku polskiem.

Dr. Spandowski.

Po uroczystościach narodowych.

Podczas gdy w zaborze naszym nawet skromne obchody rocznicy powstaniowej nie mogły się odbyć bez interwencyi policyi, która rozpędzała zebrania i postępowaniem zarówno bezwzględnem jak bezprawnem przyczyniła się do powstania burd i awantur i rozdraźnienie nurtujące od czasu wywłaszczeń w umysłach społeczeństwa rozpaliła do białości — otrzymujemy od naszych korespondentów galicyjskich opisy szczegółowe świetnych obchodów tamecznych tak pod każdym względem różnych od naszych.

Dajemy głos naszemu korespondentowi krakowskiemu, który donosi, co następuje:

Wśród dziwnego nastroju i pełnych napięcia chwil przypadła pięćdziesiąta rocznica powstania styczniowego. Zdawałoby się, że uroczyściej i podnioślej uczci ją społeczeństwo szczególniej tam, gdzie ją uczcić może. Jednak czy to ze względu na porę, czy ze względu na to od dłuższego czasu nerwowe napięcie co niepewne jutro przynieść może, rocznica wypadła skromniej niż oczekiwaćby należało.

Święciła ją uroczyście stolica kraju Lwów, święcił ją z całą okazałością, godną takiego święta i godną oraz przynależną uczestnikom ostatniej walki. Uroczyste nabożeństwa po wszystkich kościołach, w katedrze wspaniała msza św. celebrowana przez arcybiskupa Bilczewskiego, podniosłe kazanie. wygłoszone przez arcybiskupa Teodorowicza, następnie pochód pod teatr i uroczysta akademia: Hołd bohaterom żyjącym i zmarłym. Wieczorem patryotyczne manifestacye na grobach żołnierzy z 1863 r. i obchody i wieczorki.

Tysiączne tłumy brały udział w obchodach, tysiączne tłumy spieszyły na groby, stolica żyła znów przez jeden dzień tem życiem, jakiem może żadne z miast polskich nie żyje.

Kraków również obchodził uroczyście rocznicę powstania, choć nie tak jak tego to wielkie święto narodowe wymagało. Uroczystość zamknęła się przeważnie w kościołach i salach, tylko młodzież uczciła to święto wielką manifestacyą na rynku i Wawelu.

Z kraju nadchodzą wiadomości o obchodach odbytych. W wielu miejscowościach urządzono ku pamięci powstania ćwiczenia polowe Sokołów.

Może nie była więc ta rocznica obchodzona tak szumnie, jak inne, może nie było tyle odświętnych znaków i cech, ale było jakieś odświętne wrażenie w duszy, jakieś niezwykłe podniesienie i skupienie, które nadawało całej uroczystości niezwykle poważny nastrój.

Że jednak rocznica ta więcej jak inne wyryła swe piętno na społeczeństwie najlepszy dowód w niezwykle licznej literaturze, jaka nagromadziła się wskutek minionej rocznicy. Szczególniej zauważyć można literaturę piękną, szereg wierszy i poezyj, jakie pod wrażeniem rocznicy się ukazały. Mówiąc o nich nie można nie wspomnieć o konkursowej sztuce Józefa Wiśniowskiego: „Leci liście z drzewa.“

Autor przenosi nas do staropolskiego dworku Krzeszów. Przy stole zgromadzona cała rodzina słucha opowiadania sędziwego patryarchy, pana Tomasza o boju czwartaków pod Warszawą. W powietrzu atmosfera duszna, ciężka, nad domem wisi grom, który ma niebawem uderzyć w to zaciszne gniazdko.

Ktoś przynosi wieść, że czas już nadszedł. I oto jak na skinienie wyższej jakiejś siły młodsze pokolenie stoi gotowe do czynu. Stają do walki obaj synowie Tadeusz i Kazimierz, obok nich Stefan Tokarski i włościanin Tracz. Sędziwy ojciec waha się przez chwilę, bo widział pogrom Woli i śmierć męczeńską Sowińskiego, przeczucie mu mówi, że czyn młodych będzie tylko ofiarą.

W akcie drugim obóz powstańców w inscenizacyi Grottgera. Wkrótce zaczyna się bój... Oddział formuje się, na wieść, że Moskale idą... W trzecim akcie następuje katastrofa. Niedobitek z

pod Małogoszczy powstaniec Grot przynosi hiobiową wieść o pogromie, o śmierci Kazimierza i ujęciu Tadeusza. We dworze następuje rozpacz i odrętwienie, z którego wyrywa wszystkich mężna i nieugięta staruszka. Niedługo i tu pokój panuje, bo Moskale pędząc śladami rozbitków, wpadają do dworu, krótka, nierówna walka, potem krew i trupy, wreszcie pożary i zgliszcza, na które w czwartym akcie przywodzi Tracz Tadeusza, nieszczęśliwą ofiarę niewoli i tortur rosyjskich, który nikogo i nic nie poznaje a na wszystkie pytania odpowiada: nie wiem, nie pamiętam.

Utwór p. Wiśniowskiego należy do kategoryi tych poetyckich nastrojowych dzieł, które mają za zadanie budzić uczucie, być dekoracyą artystyczną dla wielkich wspomnień. Jako taki posiada on wszystkie warunki poezyi, a przystosowaną bardzo umiejętnie do tego arcydzieła, jakiem są obrazy Grottgera. Zakończenie każdego obrazu jest niejako żywym obrazem Grottgera kompozycyi.

Całość wywarła tak we Lwowie jak i w Krakowie niezwykle silne wrażenie, które na długo utrwala się w duszy i silnie porusza struny uczuciowe słuchaczów.

S. W.

Na widowni.

Rezygnacya rządu Kiamila baszy z Adryanopolu tak bohatersko bronionego przez Szykri baszę, przyczyniła się do wybuchu od dawna przygotowanej rewolucyi młodotureckiej. Na czele ruchu stanął słynny Enwer bej i zmusił gabinet do ustąpienia. Wielkim wezyrem został znany Szewket basza, ministerstwo spraw wewnętrznych objął Talaat bej, obaj wybitni przywódcy ligi młodotureckiej. Nazim basza padł pod strzałami spiskowców. Nowy gabinet opiera się wydaniu Adryanopola. Należy więc oczekiwać nowych konfliktów, a kto wie, czy nie wybuchu wojny europejskiej, jeżeli Rosya urzeczywistni groźbę i wtargnie do Turcyi azyatyckiej. Nie wykluczona jest także wojna domowa w Turcyi, gdyż wojsko pod Czataldżą skoncentrowane, oburzone postępowaniem młodoturków i rozdrażnione zamordowaniem Nazima baszy, grozi krwawym odwetem.

Zaznaczyć jeszcze należy, że młodoturcy w ciągłych pozostają stosunkach z ambasadorem niemieckim w Konstantynopolu, co nasuwa podejrzenie, iż Niemcy popierają ruch młodoturecki. Również fakt, że ambasador turecki w Londynie nie przyjął zaproszenia króla angielskiego do Windsoru zdaje się świadczyć, że nowy rząd turecki odwrócił się od trójporozumienia



Enver-bej,
przywódzca młodo-tureckich rewolucyonistów w Carogrodzie.

nia i liczy na pomoc trójprzymierza, a głównie Niemiec, którym nagły wzrost potęgi słowiańskiej na Bałkanie jest solą w oku.

Jakkolwiek czyn Enwera baszy i towarzyszy mąci szyki dyplomacyi



Nazim-Basza,
ofiara rewolucyi w Carogrodzie, którego zastrzelono w gmachu W. Porty,

europejskiej i świat na nowe niebezpieczeństwa naraża, ludzie miłujący honor nie mogą mu poskąpić uznania. Nie uratuje on Turcyi, lecz sprawi, że państwo to, któremu groził upadek sromotny, przynajmniej honor wyniesie cało. Według wszelkich ludzkich obliczeń bowiem Turcya krom honoru nie wiele uratuje z burzy, która nad nią rozszalała.



Kiamil-Basza,
dotychczasowy wielki wezyr.



Szykri-Basza,
bohaterski obrońca Adryanopola, drugiej stolicy Turcyi europejskiej. Adryanopol to główny punkt sporny w kwestyi dalszej wojny na Bałkanach.

Ostatnie wypadki w Niemczech wykazały dowodnie, że ugrupowanie stronnictw w parlamencie niemieckim jest nienaturalne, że bloki, tworzące większość rządową, okazują wciąż szczeliny, grożące za loda wstrząśnieniem rozpadnięciem.

Odrzucenie w komisyi budżetowej parlamentu dodatków kresowych dla urzędników, przeciw czemu głosowali Polacy, centrum i socyaliści, przekonało rząd, że większości w parlamencie nie posiada, że hakatystyczna polityka rządu nie znajduje poparcia wśród większości reprezentantów narodu niemieckiego.

Dla rządu prawdziwie konstytucyjnego byłoby to ciosem zabójczym, rząd niemiecki przejdzie nad tem do porządku dziennego, ale będzie to dla niego zawsze rzecza arcyniemiłą, bo stosunki są dziś w świecie takie, iż rząd który nie ma większości narodu za sobą, nie może mieć powagi, jaką posiadać w interesie własnym powinien.



Talaat-Bej,
minister spraw wewnętrznych.

Wykazało się znowu, że sprawa polska ma i w Niemczech znaczenie duże, gdy traktowanie nieliczące się z najprostszymi wymogami sprawiedliwości, ma takie następstwa, iż osłabia powagę rządu tak na wewnątrz jak na zewnątrz.

Doniosłość tego faktu pojęły niektóre poważne pisma niemieckie i skorzystały ze sposobności, aby przypomnąć rządowi, iż chwila obecna najmniej odpowiednia do traktowania narodu polskiego w sposób, jak to czyni rząd pruski.

Że czasy nastają dla Europy groźne, to potwierdzają w całej pełni wypadki ostatniego tygodnia.

Delegaci pokojowi państw bałkańskich postanowili ostatecznie rozjechać się do domów. Mężowie stanu angielscy, którzy łudzili się nadzieją, że jeden z najważniejszych wypadków dziejowych, jakim miał być pokój bałkański, zawarty zostanie w Londynie, zawiedli się w tych nadziejach i niewiadoma czy słusznie, czy niesłusznie, posądza cały świat Niemcy, iż rewolucya młodoturków w Carogrodzie, któ-



Wielki wezyr Szewket Basza.

ra pokój londyński uniemożliwiła, to jest wreszcie dzieło intryg niemieckich.

Charakterystycznem jest, że rząd austryacki oficyalnie zarzut ten co do Austryi w swoim organie, wiedeńskim „Fremdeblacie" odparł, oświadczywszy, że Austrya żadnego udziału w wypadkach carogrodzkich nie miała, gdy żaden z półurzędowych organów niemieckich dotychczas tego nie uczynił, chociaż był powód ku temu, bo nawet półurzędowe pisma francuskie wprost Niemcom zarzut ten uczyniły.

Co więcej, zdarzyło się też po raz pierwszy w bieżącym tygodniu, iż Niemcy wystąpiły w kwestyi bałkańskiej na plan pierwszy Wystąpieniem tem był komunikat półurzędowej „Nordd. Allgemeine Zeit." oświadczający, że Niemcy nie myślą występować przeciw Turcyi z jakiemikolwiek groźbami. Jeżeli to organ kanclerza obwieścił tak uroczyście całemu światu, więc najmniejszej nie ulega wątpliwości, że projekt wymuszenia na Turcyi pokoju musiał istnieć u innych mocarstw.

Oświadczenie jest więc zarazem zapowiedzią, że Niemcy solidarnie z innemi mocarstwami nie pójdą, i groźbą skierowaną przeciw mocarstwom, które chciały wymódz na Turcyi pokój.

Nastąpiło mimo to, czego w rzeczywistości najbardziej się obawiano: pomiędzy mocarstwami nie ma już zgody, tej zgody, która w położeniu dzisiejszem jest warunkiem zabezpieczającym pokój.

To też z zaciekawieniem i zarazem ze wzrastającem niepokojem co dzień oczekuje się wiadomości z Carogrodu.

Dziś skupiona uwaga całego świata na stolicę Turcyi. Jaką odpowiedź da Turcya mocarstwom? Jutro z jeszcze większym niepokojem oczekiwać się będzie tego, co uczynią mocarstwa.

Największe niebezpieczeństwo znajduje się oczywiście w tem, że o pokoju Europy decyduje w wysokiej mierze Turcya, a więc państwo, które w całem słowa znaczeniu prawie nic nie ma do stracenia.

W przyszłym tygodniu należy oczekiwać wydarzeń bardzo poważnych, decydujących może o pokoju Europy.

Z naszych spraw.

Interpelacya w sprawie wywłaszczania.

Koło polskie wniesło w ubiegłą sobotę w parlamencie interpelacyę w sprawie wywłaszczania, która brzmi:

„Rząd pruski rozpoczął wywłaszczać polskich właścicieli ziemskich dla komisyi kolonizacyjnej. Co kanclerz Rzeszy zamierza uczynić, aby zapobiedz temu zarządzeniu niezgodnemu z duchem konstytucyi Rzeszy i prawodawstwa jej, a pod względem politycznym i socyalnym podburzającemu ludność w najwyższym stopniu?"

Interpelacyę poparli posłowie centrowi. Interpelacya przyszła na porządek obrad w ubiegłą środę.

W chwili, gdy zeszyt niniejszy idzie na maszynę, otrzymujemy wiadomość telefoniczną z Berlina, że **parlament uchwalił kanclerzowi wotum niezaufania 213 przeciw 97 głosom.** Za wotum niezaufania głosowali Polacy, centrowcy i socyaliści. Postępowali wstrzymali się od głosowania. Tak otóż parlament niemiecki olbrzymią większością głosów potępił pruską politykę wywłaszczycielską.

* * *

Zajścia pożałowania godne.

W ubiegły czwartek, dnia 23-go z. m. wieczorem po obchodzie rocznicy powstania styczniowego, urządzonym przez młodzież tutejszą w ściśle zamkniętem kółku na wielkiej sali Bazarowej, przyszło w mieście naszem do zajść wielce pożałowania godnych.

Na zebranie to zamknięte młodzieży, ku uczczeniu rocznicy 1863 roku w Bazarze, usiłowała wtargnąć gwałtem policya, lecz zamiar nie udał się, ponieważ żelazne kraty zewnętrzne były szczelnie pozamykane. Obchód więc odbył się spokojnie bez przeszkody.

Na wracającą z obchodu w dolną część miasta grupami młodzież rzucono całe zastępy policyi i wydano komendę: „Laufschritt! Marsch! Marsch!" — a potem nakaz: „Strassen schliessen!" Nawet przechodnie Niemcy ze zdziwieniem patrzeli na to, co się dzieje.

Gdy jeden z policyantów począł bić spokojnie idącego mężczyznę, wyszedł z ulicy Żydowskiej p. Fr. C. żądając spokojnie, by go zapisano na świadka. Policyant tego nie uczynił, ale po chwili dopadł pana C. i ni ztąd ni z owąd uderzył go pięścią w kark, tak że spadł mu kapelusz. Gdy p. C. pochylił się, by kapelusz podnieść, uderzył go policyant pałaszem, wołając do drugiego policyanta: „Das ist der, welcher Zeuge sein wollte!"

Z komendą: „Haut zu!" poczęto niewinnego płazować. Pan C. ma skaleczony łokieć. Płazowano także w innych ulicach. Jednego z przechodniów poraniono podobno poważnie. W odpowiedzi na to kilkudziesięciu z pośród młodzieży poszło pod pomnik Kochanowskiego przed tumem i zaśpiewało „Boże coś Polskę." poczem rozeszli się spokojnie.

* * *

Obchody styczniowe na prowincyi

odbyły się przeważnie w mniejszych rozmiarach. Wszędzie ograniczono się na odprawieniu Mesz św., zakupionych przez żyjących weteranów za dusze poległych, rozstrzelonych, powieszonych i zmarłych towarzyszów broni. W większych rozmiarach odbyły się obchody między innemi w Gostyniu, gdzie urządzono dwie wieczornice, pierwszą dnia 21-go z. m., która dobiegła do końca spokojnie i drugą dnia 26-go z. m. którą rozbiła policya. Tak samo rozbiła policya wieczornicę w Grodzisku.

* * *

Obchody styczniowe na Śląsku.

Na Śląsku odbyło się kilka obchodów postawnia styczniowego. Nie było tam możliwe, ażeby za dusze poległych zamówić w którymkolwiek kościele mszę św., za to jednak już od tygodnia urządzały poszczególne towarzystwa skromne obchody w zamkniętych kółkach, ażeby przez wykłady uczcić tę półwiekową rocznicę. Obchód taki urządziły w zaprzeszłą niedzielę towarzystwa śpiewu w Zabrzu i Brzozowicach. Obchody miały i zapewne wszędzie mieć będą przebieg poważny i spokojny, jakich się zapewne ani policya nie spodziewała.

W Opolu urządził obchód Komitet, który się umyślnie w tym celu zawiązał. Uroczystość, na którą przybyli uczestnicy z miasta i wsi okolicznych, odbyła się w bardzo podniosym i poważnym nastroju.

* * *

Hojny zapis na pomoc naukową Prus Królewskich.

Przed kilku tygodniami umarł w Chojnicach ś. p. Kaźmierz Sikorski, brat Stanisława Sikorskiego z Chełmów, posła do sejmu pruskiego. Zmarły był kawalerem i dłuższe lata żył jako kapitalista w Chojnicach. Pomimo wielkiego majątku żył bardzo skromnie i oszczędnie. Naśmiewano się nawet z jego oszczędności i nazywano go dziwakiem. Kiedy przed niedawnym czasem otworzono testament, przekonano się, że ś. p. Sikorski szczędził, ażeby zostawić jak najwięcej majątku na ważny cel publiczny. Oto testamentem zapisał cały swój majątek, wynoszący przeszło milion marek, Towarzystwu Pomocy Naukowej Prus Królewskich.

Zaiste na nasze stosunki dar to magnacki! W rzeczywistości nie mógł się zmarły więcej przysłużyć społeczeństwu Prus Królewskich jak zapisując tak hojny dar właśnie tej instytucyi. Setki młodzieży Prus Królewskich dla braku funduszów nie mogą dokończyć wykształcenia, a pomódz jej trudno, bo fundusze Pomocy Naukowej w Prusach są bardzo szczupłe.

* * *

Hakatystyczne bezprawia.

Lokalne grupy hakatystyczne wydają wszędzie ulotne pisma, wzywajac do bojkotu polskich kupców i przemysłowców. Także bydgoska grupa rozesłała takie pismo, a poznańska wymieniła nawet rozmaite firmy, których właściciele mają niemieckie nazwiska, a są Polakami, aby Niemcy przez omyłkę nie kupowali u nich.

Na zebraniu hakatystów odbytem świeżo w Poznaniu w tej sprawie uchwalono następujaca rezolucyę:

„Grupa poznańska Towarzystwa kresów wschodnich ze względu na fakt, iż w miastach otoczonych kolonistami niemieckimi podniosła się niemczyzna o 51 proc., a polonizm tylko o 26 procent, tudzież ze względu na wmożenie się siły podatkowej, produkcyjnej i odbytowej, która jest większą, niż w miastach nie okolonych posiadłościami kolonizacyjnemi, uważa energiczne otaczanie miast na kresach wschodnich posiadłościami włościan niemieckich, jako środek najlepszy i najskuteczniejszy do podniesienia rzemiosła i procederu niemieckiego w tychże miastach i tem samem do trwałego przeciwdziałania bojkotowi ze strony Polaków“.

Nie ma co mówić — znowu ta sama antypolska śpiewka hakaty, nucona na jedną i te samą nutę, na melodyę „Ausrotten“.

Jednocześnie zebrały się kobiety-hakatystki w Poznaniu celem narady względem bojkotowania polskich krawczyń i modniarek.

* * *

Nowe żądania hakatystów.

Wolnokonserwatyści złożyli do etatu finansów wniosek, by rząd otoczył szczególną opieką niemiecki handel i przemysł na ziemich polskich. Żądają:

1. jaknajprędszej działalności kolonizacyi,

2. udzielania realnego kredytu ponad granicą pewności pupilarnej,

3. fachowego wykształcenia przemysłowców,

4. popierania spółek przemysłowych,

5. popierania przemysłowców w nabywaniu własnych domostw.

* * *

Witkowski—Witting

przypomniał się znowu światu. Stosownie do pochodzenia i temperamentu rasy, z której się wywodzi, pan geheimrat od czasu do czasu uważa za stosowne dokumentować swój patryotyzm pruski. W Magdeburgu wygłosił odczyt „o najnowszej polityce kresów wschodnich“, namiętnie zarzucając rządowi, jakoby złagodniał (!!!) wobec Polaków. Za rządów Bismarcka pono było inaczej, nawet czasy Caprivi'ego nie były tak złe, bo wtedy jeszcze nie było zwycięstw słowiańskich pod Kirkkilissą i Lüle Burgas; dzisiaj Polacy zarozumialej“ już podnoszą głowy, lecz tacy mężowie jak Bethmann-Hollweg, Schorlemer i Schwartzkopff tego zdają się nie widzieć.

* * *

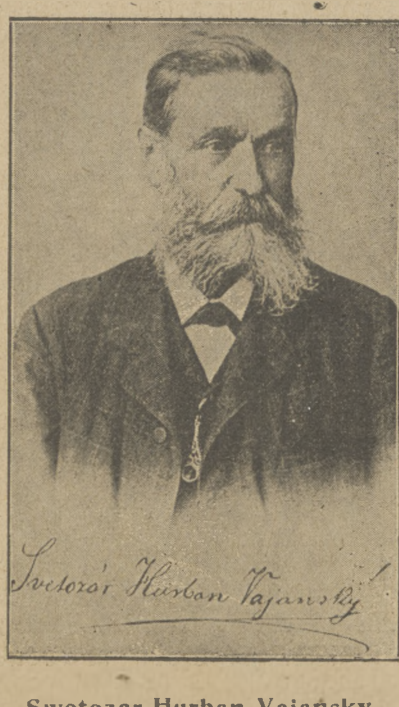
Wiece protestujące przeciw wywłaszczeniu

odbyły się w dalszym ciągu w ubiegłą niedzielę dla **Rataj, Żegrza i Kobylepola** w Dolinie Świętojańskiej pod Poznaniem, w **Mosinie i Kostrzynie.**

Na wiecach przyjęto rezolucye przeciw wywłaszczeniu.

Pojętni uczniowie.

Hakatyzm pruski pojętnych znalazł uczniów w Madziarach. I lubo na ogół biorąc nie doprowadzili oni jeszcze w ucisku Słowian do takiego mistrzostwa, jakiem się Prusacy wobec Polaków od-



Swetozar Hurban Vajansky,
poeta słowacki i redaktor „Narodnich Nowin.“

znaczają, to jednak zachodzą tam od czasu do czasu wypadki tak jaskrawych, tak pozbawionych wszelkiego cienia humanitarności prześladowań, że przewyższają nawet udręki pruskie.

Ostatnio zdarzyło się Hurbanowi Vajanskyemu, poecie słowackiemu i redaktorowi wychodzących w Turczańskim Św. Marcinie „Narodnich Nowin“, narazić się rządowi węgierskiemu przez kwitowanie ze składek nadsyłanych do pisma na rzecz rannych Słowian bałkańskich. Spotkała go za to surowa kara. Zasądzono go nietylko na 200 koron kary, lecz nadto polecił komisarz rządowy ściągnąć z redaktora, a w razie niezamożności, z kaucyi „Narodnich Nowin“ 6754 kor. i 38 hal. czyli akurat tyle, ile wynosiły nadesłane do redakcyi z kół czytelników i wysłane walczącym braciom na Bałkanach składki.

Zasądzony wniósł oczywiście apelacyę i w interesie tak poszkodowanego wyrokiem jak honoru narodu madziarskiego należy mniemać, iż wyższa instancya zniesie wyrok barbarzyński.

W każdym razie wyrok pierwszej instancyi wskazuje dostatecznie, do jakiego chamstwa gotowe są posunąć się władze madziarskie, gdy chodzi o Słowianina.

Kurs narciarski.

W czasie ubiegłych Świąt Bożego Narodzenia urządziło Karpackie Towarzystwo Narciarzy kurs jazdy na „ski“ od 25—29 grudnia. Kurs ten obejmował dwa oddziały: oddział szkoły alpejskiej, prowadził go dr. Roman Kordys, i oddział szkoły narciarskiej pod kierownictwem inżyniera Wernera Werenskiölda z Norwegii.

W kursach uczestniczyło 76 osób, w tem 18 pań. Kurs rozpoczął się w środę, dnia 25, i trwał do soboty włącznie. Koroną kursu była wycieczka na Trościan odbyta przez wszystkich uczestników w niedzielę dnia29 grudnia.

Kurs odbył się w zakreślonych ramach, mimo iż warunki śniegowe były nieszczególne — dobry śnieg rozpoczynał się dopiero na wysokości 800 mtr. Pogodny humor uczestników i to przekonanie, że przepędzenie świąt na dnie natury jest o wiele przyjemniejsze niż w zabłoconem i zalanem deszczem mie-

ście, pokonywały wszelkie niedomagania.

Na północnych stokach śnieg był nawet w dostatecznej ilości, mroźne zaś i czyste powierze tudzież puszysty śnieg sobotni wynagrodziły braki poprzednie

Postępy obu kursów były bardzo znaczne — zwrócił na to uwagę inż. W. Werenskiöld podnosząc odwagę, pewność i zręczność narciarską Polaków wogóle a w szczególności uczestników kursu.

Że i kurs alpejski bardzo postąpił świadczy o tem wycieczka nowicyuszy na Trościan — szczyt przenoszący 1 2000 mtr.

Po całodziennych ćwiczeniach powracali uczestnicy do schroniska, gdzie urządzono gry i zabawy towarzyskie a nawet koncerty orkiestry bardzo ciekawej — złożonej z gitary, mandoliny i... harmonii. Po skończeniu kursu większość uczestników odjechała do Lwowa ,pięciu zaś turystów z inżynierem W. Werenskiöldem udało się w pasmo Borsawy celem osiągnięcia Stoja. Szczytu tego nie osiągnięto z powodu nagłej odwilży; zadowolono się wyjściem na mniejszy szczyt Płoj.

O naszych Karpatach wyraził się inż. Werenskiöld bardzo pochlebnie — oznaczając je jako znakomity teren narciarski, a porównując je z Alpami twierdził, że są jak i tamte równie doskonałe.

Karpackie Tow. Narciarzy (Lwów ul. Akademicka 5) udziela bardzo chętnie wszystkich informacyj dotyczących warunków śniegowych i wogóle wszelkich wskazówek turystom chcącym zwiedzić Karpaty.

Lwów, 26. I. 1813.

Saski.

Głosy od przyjaciół.

Z miasta, 27. I. 1913.

Polacy pod zaborem pruskim a rosyjskim.

Z korespondencyi p. S. K. z Berlina, pod powyższym tytułem w zeszłym numerze „Pracy“ zamieszczonej, przebija wielki żal do Królewiaków i — jakby chęć odwetu za doznane przykrości podczas dwuletniego, jak pisze, pobytu swego w Warszawie. Nie chciałbym tu brać w obronę Królewiaków, którym rzeczywiście możnaby dużo zarzucić, nie mam także zamiaru bronić Wielkopolan (czy Poznańczyków podług p. S. K.) tam dotąd wyjeżdżających lub w kraju przebywających. Bo na to trzebaby zapełnić łamy dzienników, (które, nawiasem mówiąc, u nas nie wiele lub wcale nie wspomniały o książce p. Romockiego), albo też omówić rzecz w osobnej książce. Tutaj chciałbym tylko wspomnieć o bezpośredniej przyczynie, która wpływa na stosunek ujemny pomiędzy poszczególnemi zaborami naszego kraju.

Jest nim nieszczęśliwe położenie polityczne naszego narodu, podział kraju. I właśnie przynależność każdego z poszczególnych zaborów do innego państwa i spowodowane tem odmienne warunki bytu w każdym z trzech zaborów wytworzyły te smutne stosunki, iż my stykając się wspólnie, (co na ogół wziąwszy tak rzadko się zdarza!) nie sądzimy rodaków naszych z ich odrębnego stanowiska w danym zaborze, lecz mierzymy ich miarą własną, z punktu widzenia naszego zapatrywania, wyrosłego na gruncie naszego zaboru. Gdybyśmy tylko z punktu narodowego do siebie się odnosili, sprawa przedstawiałaby się inaczej, błędy popełniane tu i tam (bo gdzież ich niema?) nie byłyby tak rażące, a zato byłoby więcej jedności i wspólnej pracy. Wrogowie nasi wiedzieli dobrze, iż narodu naszego tak licznego tak łatwo zgnieść, zniszczyć nie będzie można. Dlatego to wymyślili szatański sposób podziału kraju, skutki tego podziału po przeszło stuletniej niewoli widzimy dziś jak na dłoni. Oddzielony kordonami każdy z poszczególnych zaborów nie mógł już utrzymywać łączności z resztą kraju; tu uniemożliwiono nam przez to wspólne działanie, wspólną pomoc w razie potrzeby.

W każdym z poszczególnych zaborów wytworzył się nowy, odmienny typ Polaków, urodzonych i umierających w niewoli pruskiej, rosyjskiej czy austryackiej. Różnica ta uwydatnia się natychmiast tak w rozmowie jak i w całem traktowaniu Polaka z danego zaboru.

To jest jedno zło, jakie zrodził podział naszego kraju. Dalej pamiętać należy, iż ucisk, trudne warunki — słowem niewola — osłabia, upadla, niszczy siły kulturalne narodu. Naród bowiem, będący w ucisku i nie mogący rozwijać swej kultury w swobodzie politycznej, z trudem tylko pod tym względem za innemi podążać może, a wynikiem tego jest w narodzie takim więcej jednostek stojących nizko moralnie, niż w narodzie wolnym. Z tego powodu jest więcej złego w narodzie zależnym To zło objawia się w różnej formie. My zaś spotykając się z sobą, naturalnie widzimy najpierw wady i to nas napełnia goryczą i powoduje do wymówek.

Że my Wielkopolanie, tak w Królestwie jak i Galicyi nie jesteśmy zbyt chętnie widziani jako konkurenci w handlu czy przemyśle w tamtejszych sferach handlowych czy przemysłowych — to jest fakt. Lecz nie chciałbym twierdzić, iż to jest powszechne, jest bowiem wiele dowodów przeczących temu. Lecz uwzględniając stosunki tam panujące i warunki, w jakich się tam przemysł rozwija, przyznać trzeba, iż kupiec nasz czy rzemieślnik, mający stosunkowo wyższą praktykę zawodową, już tem samem odruchowo wywołuje zawiść (do pewnego stopnia zrozumiałą) a jak już zaznaczyłem nie powszechną. Walka o byt jest bowiem wszechpotężną i względy wszelkie, nawet narodowe, przed nią ustępują. Gdy do tego dodamy pruskie prawo, zabraniające rodakom naszym na osiedlanie się, a nawet dłuższy pobyt w naszym zaborze im utrudniające, podczas gdy nam przychodzi łatwo osiedlać się tak w Galicyi jak i w Królestwie, o ile to nam jest wygodniej, — zrozumiemy, iż nienawiść skierowana przeciw Prusakom, udziela się w pewnej mierze i nam. Jest ona nieuzasadniona, lecz zrozumiała.

I dopóki tak odmienne stasunki w poszczególnych zaborach panować będą, niema widoków jaśniejszej dla nas przyszłości. Należałoby tedy tu i tam więcej pracować w kierunku uświadomienia mas szerokich o właściwym naszym stanie i stanowiskach naszych — a wtedy i żalów mniej będzie.

Brzoza.

* * *

Tasdorf pod Berlinem, d. 26. I. 13.

Szanowna Redakcyo!

Przed niejakimś czasem chodziły tu u nas po domach, zwłaszcza odwiedzając rodziny polskie jakieś tam zakonnice nieznane i rozdawały broszurki polskie i niemieckie pod tytułem: „Skarb duszy,“ „Droga do zbawienia“ i „Wśród ciemności.“ Wydawane są przez niejakiegoś kaznodzieję Jana Petrasa z Bielska w Austryi. Bezwątpienia musi to być jaki sekciarz jak ci Kozłowity czyli Maryawity. Sekciarz ten zasypuje naszą tutejszą Polonię co tydzień swemi broszurkami, nadsyłanemi do każdego z osobna. Przypuszczam, iż właśnie te zakonnice odpisują sobie adresy (nazwiska) mieszkań, gdym bowiem pytał wielu rodaków czy one się ich nie pytały o nazwisko i czy sobie nie notowały, zawsze otrzymałem odpowiedź odmowną. Proszę zatem Szanowną Redakcyę o poinformowanie, co do tego Jana Petrasa, ażebym mógł naszą Polonią na najbliższem zebraniu ostrzedz

należycie. Zasełam Szanownej Redakcyi życzenia najlepszego powodzenia i rozwoju.

Serdeczny przyjaciel i czyt. „Pracy“
Stefan Kamiński.

Od Redakcyi. Ów Petras jest znany także w Poznaniu ze swych praktyk sekciarskich; swego czasu ostrzegały przed nim publiczność naszą gazety, mianowicie „Postęp,“ więc o strzedz należy przed nim rodaków, a broszurek przeź niego szerzonych nie przyjmować nadal. Kto je już posiada niech je zniszczy!

Podobizny uczestników powstania styczniowego.

Michał Wierzbicki,

syn Wawrzyńca, dzierżawcy Wąwelna i Julii z Janowskich, stryj ks. pro-



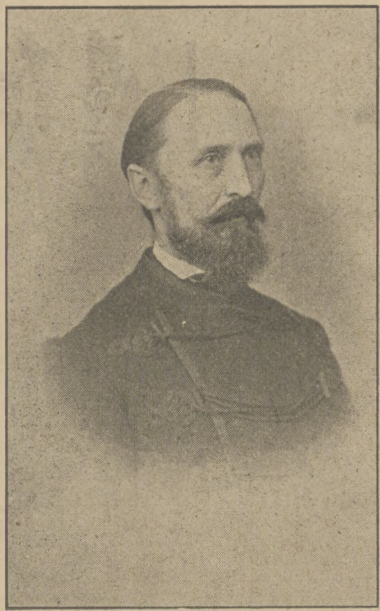
Michał Wierzbicki.

boszcza Wierzbickiego z Kłecka, brał udział w potyczkach pod Doborosołowem i Mieczownicą, następnie udał się do oddziału Jounga i tu w bitwie pod Brdowem ugodzony kulą w lewą rękę, znalazł schronienie w domu pp. Żychliskich w Kęcerzynie, gdzie mu rękę amputowano. Po powrocie do Gniezna, skazany na pół roku więzienia, po odsiedzeniu kary poświęcił się stanowi kupieckiemu. Później przeniósł się do Ameryki, gdzie zdobył sobie wielkie uznanie jako redaktor „Gazety polskiej“ i gdzie w końcu zdala od rodziny i ziemi ojczystej życia dokonał.

* * *

Franciszek Mirosławski

ur. 1823 r. w Mirosławicach brał czynny udział w bitwie pod Miłosławiem w 48-mym roku. W 63-cim r. dziedzic Proszysk na Kujawach, jako komisarz wojenny nadgranicznych powiatów, przewoził Taczanowskiego przez granicę po bitwie pod Ignacewem, gdy ten-



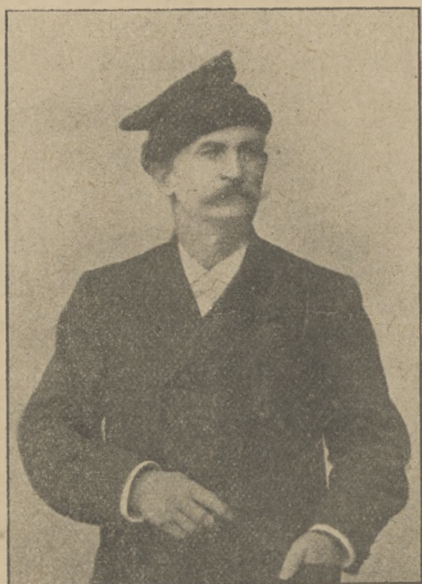
Franciszek Mirosławski.

że powracał do powstania i z polecenia rządu narodowego wręczył mu nominacyę na jenerała. Półtora roku był więziony w Hausvogtei i Moabicie, co spowodowało piersiową chorobę której też uległ w roku 1874-ym.

* * *

Józef Skowroński

brał gorliwy udział w powstaniu 1863 roku. Wzięty do niewoli i skazany na wygnanie do Syberyi przepędził tam



Józef Skowroński.

lat 36. Powróciwszy do ojczyzny, umarł w roku 1907-ym w zakładzie weteranów w Krakowie.

* * *

Leon Kotowski, Poznańczyk stud. filol.

walczył w powstaniu r. 1863 pod majorem Rudzkim, a zraniony leczył się w Krakowie. Z tego czasu pochodzi



Leon Kotowski.

fotografia, której reprodukcyę zamieszczamy. Ścigany przez rząd pruski uszedł za granicę, gdzie umarł przed 25-ciu latami.

* * *

Józef Miśkiewicz,

znany ogólnie publiczności poznańskiej mianowicie starszej generacyi właściciel restauracyi w Poznaniu, walczył



Józef Miśkiewicz.

pod Joungiem de Blankensteinem. Zmarł w Poznaniu przed kilkunasty laty.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bogacz nie wspierający biednych, podobny jest do góry, w której spoczywają kruszce nikomu niepożyteczne.

* * *

Cztery rzeczy niepotrzebne: do morza wodę nosić, nasyconemu dawać jeść, bogatemu dawać podarki i złemu dobrze czynić.

* * *





Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Z uroczystości ślubnych w Myszkowin.
Banderya. Ludzie dominialni niosą powinszowanie Młodej Parze.

Ślub w Myszkowie.

Dnia 21-go z. m. dwór w Myszkowie, majętności pp. Edmundostwa Żółtowskich w powiecie szamotulskim, był świadkiem uroczystości weselnej... zaślubin jedynej ich córki Seweryny z panem Marcelim Czarneckim, synem Wiktora i Eufrozyny z Sobańskich hr. Czarneckich.

Wczesnym już rankiem droga wiodąca do kościoła szamotulskiego, byłego klasztoru Reformatów, zalegała widzami.

Nareszcie na tle pogodnego horyzontu ujrzano szereg pojazdów i samochodów, to pochód weselny, to panienkę „myszkowską“ wiodą do ołtarza. Śliczna banderya w ludowych strojach i grono wiejskich druchn poprzedzały ten orszak, aby u wrót kościoła powitać oblubieńców. Twarze wszystkich pogodne i weselne, znać kochają tych, których wrażenia dzielą, a już w chwili ukazania się panny młodej, jeden szmer zadowolenia unosi się nad tłumem. „Veni Creator“ wita w niezwykle pięknie przybranej świątyni najprzód pana młodego, prowadzonego przez obie matki państwa młodych, w ślad za nim oblubienicę, wspartą na ramieniu ojca i stryja pana młodego p. Józefa Czarneckiego, zastępującego jego ojca, którego stan zdrowia nie pozwolił być obecnym na ślubie syna. Po wzniosłem przemówieniu przyjaciela domu, ks. proboszcza Meisnera ze Środy, chóry miejscowe i piękna pieśń solowa księdza proboszcza Putza z Szamotuł uroku dodają uroczystej tej chwili, a licznie zebrane duchowieństwo na tle ołtarza płonącego w świetle i kwiecie, i barwny orszak drużb i druchn okalających państwa młodych, tworzą obraz rzadko malowniczy.

Uroczysta msza św. i ceremonia kościelna skończona, spieszą do dworu w Myszkowie już nie tylko dalsi i bliżsi krewni, ale i liczny zastęp ludu polskiego spieszy, pomny pracy dla niego łożonej, oddać hołd rodzicom, pożegnać panienkę. I był to widok radujący serce każde, gorąco czujące, podniecający umysły potrzebujące chwil takich, widoku takiego w chwilach smutku i nieszczęść naszych. Dziedziniec w Myszkowie zajaśniał od barwnych strojów ludowych przy okrzykach radości. Na progu domu, łączącego tyle miłych wspomnień dla oblubienicy, witali nowożeńców rodzice chlebem i solą, a potem kolejno deputacye Kółka rolniczego, Koła kobiet pracujących, wręczając swe dary i dziękując panience za opiekę, za światło i ciepło tak gorliwie im udzielane. W zamian państwo młodzi w serdecznych i gorących słowach dziękowali za te dowody tak bezmiernie miłe łączności pracy społecznej, i zapewniali, że jej nie przerwą, i w dalszych stronach Wielkopolski.

I rozsunęły się ściany tego tak typowo staropolskiego dworu, aby przyjąć liczne bardzo grono przyjaciół i krewnych ze szczerą, wszystkim już znaną, a tak bardzo serdeczną gościnnością. Nastąpiła uczta weselna, do której zasiadło 80 osób. Spełniono szereg toastów, jak dawny nasz zwyczaj każe, a z każdego tchnęła nuta gorącej miłości Ojczyzny i Kościoła. Zabawa ochocza trwała do północy, poczem państwo młodzi, odprowadzeni przez grono młodzieży na kolej, odjechali w podróż poślubną.

Z uroczystości ślubnych zamieszczamy rycinę albumową: młodą parę w otoczeniu gości: w środku para młoda, za parą młodą ojciec panny młodej, na lewo jej matka, na prawo matka i stryj pana młodego, oraz trzy ryciny w tekście: banderyę, ludzi dominialnych, niosących powinszowanie pannie młodej i członków Kółka rolniczego z Kazimierza, ugoszczonych na weselu.



Fot. L. Durczykiewicz w Czempiniu.
Z uroczystości ślubnych w Myszkowie.
Członkowie Kółka rolniczego z Kazimierza, którzy złożyli życzenia młodej parze i byli ugoszczeni na weselu.

Zakopane.

(Własna korespondencya „Pracy").

Niezwykle piękna zima zapanowała teraz w Zakopanem. Niestety trochę późno i po niewczasie! Napróżno przez długi przeciąg czasu oczekiwano jej przyjścia — tylu zapalonych sportsmenów, saneczkarzy i narciarzy — tylu amatorów krajobrazów zimowych i gości z daleka, spragnionych nowych wrażeń i Zakopanego zimą. Błoto i błoto zapanowało wszędzie, zwykła piękność gór zatonęła w szarej szarudze, deszcz nieprzyjemny, natrętny, choć zimno nie dotkliwe! Tak było do Nowego Roku mniej więcej, bo i święta nie dopisały, przynosząc wilię bez bieli śnieżnej, ale dżdżystą i wilgotną atmosferę. Aż tu raptownie śnieg obfity spadł, okrywając zimną powłoką wszystko i wszystkich. Rzucono się więc co tchu, aby stracony dla sportu powetować czas. Zaroiło się w jednej chwili w górach i dolinach. Wszędzie ruch i życie, gdzie teren nadający się dla zapalonych amatorów zimowych przyjemności. Widać białe i kolorowe kostyumy dużych i małych eskimosów, zręcznie i wdzięcznie przesuwających się na nartach, sprawiających zdaleka wrażenie ptaków wielkonogich. Widać mnóstwo saneczek w biegu dzieci i dorosłych, widać wreszcie niezliczone zastępy łyżwiarzy, szybujących po bajecznie gładkiej tafli wodnej. — Przyjemnie teraz i pięknie w Zakopanem!

Niestety dla wielu zima przyszła za późno, bo większa połowa przebywających zabiera się do odjazdu. Są to w pierwszej części uczniowie i rodzice, którzy opuścili na czas niejaki duszne, bezpowietrzne mieszkanie wielkomiejskie, aby odetchnąć na chwilę ożywczem górskiem tchnieniem. Ale szkoły rozpoczęte, obowiązek przerwany woła do zwykłych zajęć. — Lecz nietylko ci — dużo innych gości jeszcze opuszcza tłumnie góry, sfery zamożne, chcące użyć w stolicach tak krótkiego w tym roku karnawału, lub też jeszcze zawczasu, wobec niepokojących ciągle pogłosek o wojnie opuścić granice Galicyi. Dlatego wyludnia się Zakopane, codziennie wyjeżdża spory zastęp gości. Zacichło życie w kawiarniach, restauracyach, na ulicach nieliczni przechodnie.

Jest jeszcze coprawda dużo w pensyonatach, sanatoryach, ale nie jest to już wesoła drużyna, szukająca zabaw i rozrywek, tylko kuracyusze lub chorzy, werandujący i wożeni w sankach czy wózkach, celem uniknięcia zmęczenia. Gdzie okiem sięgnąć pełno wybladłych twarzy, zmizerowanych postaci, leczących chore płuca ożywczem górskiem powietrzem.

W ostatnim czasie dużo przyjemnych zabaw urozmaicało pobyt przebywającym w Zakopanem. Najpierw wyścigi narciarskie amatorów i górali, przypominające owe sławne biegi z krainy fjordów i fieldów. — Potem reduta u dra Chramca, która się znakomicie udała. Dużo prześlicznych, egzotycznych kostyumów, świadczących o wytwornym smaku zdobiło jeszcze śliczniejsze właścicielki. Tu i owdzie narzekano na brak tancerzy, ale bawiono się nie mniej ochoczo. Kilka tysięcy dochodu przeznaczono na bursę uczniowską w Nowym Targu, — wynik zachodów i starań — pogodził może niezupełnie zadowolonych gości, udział w zabawie biorących.

I teatr w tym roku jest doskonały w Zakopanem. Dyrekcya zadaje sobie wszelki trud, aby i tak już urozmaicony program powiększyć i wystawić rzeczy nie banalne i mniej znane. Podobno nawet lis Romanesques Rostanda przygotowuje w przyszłości.

Jedną z oryginalnych rzadko widzianych zabaw był bal górali, urządzony za inicyatywą p. Pawlicy, prezesa „Związku górali". Loże i balkony przepełniała publiczność, przypatrująca się tańcom narodowym górali i góralek, ubranych w malownicze stroje ojczyste.

Mówią też dużo w Zakopanem o zmianie światła tj. zaprowadzeniu nareszcie oświetlenia elektrycznego. Zniknie więc niedługo niedogodność z powodu niedostatecznego oświetlenia ulic, na którą tylu gości się skarży. Pertraktacye rozpoczęte z hr. Zamoyskim z Kużnic doprowadzą najprawdopodobniej do pomyślnego rezultatu, tem pewniej, że podobno gmina ofiaruje kilkadziesiąt tysięcy koron.

Piękna jest zima w tym roku w Zakopanem i przecudnie wygląda cała okolica, wśród białej, zimowej powłoki. Puchy śnieżne zaściełają drzewa i krzewy, gór niebotyczne wierzchołki szklą się lodem i mrozem. Nocą gwiazdy — srebrnolice mrugają tajemniczo w przestworzu, snując jakieś baśnie i dziwy — śnią się mimowoli i w myśli przesuwają owe bajecznie jasne białe noce, hen w ponurej północy, wśród stolicy carów.

Piękna jest zima tutaj — nasza polska, urocza — Łomnica, białe Wirchy i turnie w ciężkich futrach dumają — może śnią im się wieki dawne, purpura i złoto stuleci, a może duszą Wernyhory przeczuwają zmiany już w niedalekiej przyszłości...

Marya Kantakówna.

List ze Lwowa.

(Własna korespondencya „Pracy.")

Lwów, 24. stycznia 1913.

(Jubileusz półwiekowy „Bratniej Pomocy" na politechnice lwowskiej).

Żyjemy wciąż jeszcze w czasie wiekowych i półwiekowych jubileuszów, między któremi zajmuje niepoślednie miejsce półwiekowy jubileusz „Bratniej Pomocy" na politechnice lwowskiej.

„Bratnia Pomoc" została założoną na podkładzie czysto humanitarnym w roku 1863. Po ogłoszeniu powstania, pierwszy wydział przeszedł gremialnie do szeregów powstańczych. Zostawszy bez opieki, Towarzystwo ledwie wegetuje przez parę lat, rychło jednak po unormowaniu stosunków zaczyna podnosić się. Z roku na rok przybywa coraz to więcej członków, Towarzystwo staje się silniejszem, zakłada czytelnię, bibliotekę, kuchnię, aż w końcu buduje własny dom.

Stojąc zdala od jakichkolwiek walk politycznych, obserwując jednak wszelkie przejawy życia narodowego, zabiera nieraz głos w sprawach ogólnych jeżeli idzie o wypowiedzenie się dusz młodych. To też nic dziwnego, że potrafiło skupić prawie wszystkich słuchaczów, zyskując swojem postępowaniem życzliwość i poparcie starszych. Widzimy więc jako członków honorowych takich ludzi jak: Asnyk, Prus, ks. arcybiskup Dr. Izak Isaakowicz, Konopnicka, Kraszewski, Marconi, Matejko, Orzeszkowa, Siemiradzki, Wyspiański, Żeromski i wielu innych.

Coroczne dotacye i subwencye Wydziału krajowego, oraz innych instytucyj finansowych, przyczyniły się nie mało do dobrobytu Towarzystwa. Obecnie „Bratnia Pomoc" znajduje się w doskonałych warunkach finansowych i to do tego stopnia, że z wiosną roku 1913 poczną budować II-gi tech-

nicki dom. Towarzystwo to posiada w swej czytelni około 80 tygodników i dzienników, które otrzymuje częścią bezpłatnie, częścią po zniżonej cenie, administruje we własnym zarządzie kuchnią, która wydaje dziennie około 500 obiadów, posiada bibliotekę złożoną z 20 000 tomów.

W roku bieżącym jako roku jubileuszowym ma być wydana księga pamiątkowa, zawierająca historyczny przebieg rozwoju „Bratniej Pomocy,“ następnie nazwiska wszystkich, którzy kiedykolwiek doń należeli, oraz fotografie tych, którzy w sposób szczególnie korzystny przyczynili się do rozwoju Towarzystwa. Ponadto Wydział „Bratniej Pomocy“ zwołał wszystkich swoich członków na dzień 24-go b. m.

W auli odświętnie przybranej przywitał gości prezes. Po krótkiem zagajeniu nastąpiła część muzykalno-wokalna, przy udziale sił artystycznych. Uroczystość zakończyła wieczerza.

Kulwiec.

Z TEATRU.

Ludwik Hieronim Morstin: Szlakiem Legionów.

Młody autor bynajmniej nie jest nowicyuszem w literaturze. Jako współwydawca i redaktor wytwornego miesięcznika krakowskiego „Museion“ wyrobił sobie p. Morstin imię cenione. Także jako pisasz dramatyczny autor „Lilij“ szczęśliwą okazał rękę. Słusznie tedy publiczność nasza z niemałem zadowoleniem dowiedziała się, iż pierwsze przedstawienie nowej sztuki p. Morstina „Szlakiem Legionów“ odbędzie się na naszej scenie. I nie tylko tą kurtuazyą podbił sobie autor publiczność wielkopolską. Znaczne powodzenie, jakie rzecz ta osiągnęła, zawdzięcza autor nie względom zewnętrznym, przypadkowym, lecz zdobył je siłą swego talentu, wewnętrzną literacką wartością najnowszego swego utworu.

W sztuce tej przedstawia nam autor ów moment dziejowy, kiedy Polska po trzecim rozbiorze stanęła na rozdrożu. Maluje w szerokich rzutach pędzla walkę rozgrywającą się pomiędzy starą, do grobu chylącą się Polską, trawiącą resztki kapitału nagromadzonego przed wiekami twórczym wysiłkiem wzniosłych i wielkich pokoleń — a Polską nowa, rodzącą się na gruzach rozbitego państwa i biorącej chrzest wśród szczeku oręża i gradu świszczących na pobojowiskach kul.

Zwycięstwo odnosi nowa Polska, Polska dysząca żądzą nowego czynu twórczego i nowego bohaterstwa, Polska legionów, która pod gwiazdy wyniosła sławę swego imienia i krwią ofiarnie przelaną zmyła straszna hańbę biernie niemal przyjętych rozbiorów. Zwycięstwo jej zaś jest tak zupełne, że nawet podkomorzy, ów najwybitniejszy w sztuce przedstawiciel mijającej doby, chyli się do kolan Dąbrowskiego, i gestem tym wewnetrzny akces do wyklinanej do niedawna nowej Polski dokumentuje. Pięknym tym efektem kończy się dramat poetycki, a może lepiej powiedzieć — poemat dramatyczny Morstina.

Stanowi on ze względu na wysokie artystyczne zalety niezwykle pięknej formy poważny nabytek literatury naszej. Język jędrny i indywidualny, ujęty w karby nader szachetnego wiersza, pulsującego rytmem pełnym rycerskiej zamaszystości, czaruje zarówno siłą muzycznego — żeby się tak wyrazić — napięcia, jak porywa treścią ideową, którą wyraża..

Ze stanowiska dramatopisarskiego wszakże niejedno możnaby tej sztuce zarzucić. Mianowicie wskazać należy na przeważający w niej żywioł rezonerski, przygniatający, rozrywający, a niekiedy unicestwiający akcyę. Na szczęście jednak interesuje to rezonerstwo słuchacza, gdyż przyczynia się znakomicie do scharakteryzowania poszczególnych figur i sytuacyi i otwiera tem samem ciekawe perspektywy w głąb duszy działających osób. Ten sam cel wszakże należało osiągnąć na innej, a naturze dramatu bardziej odpowiedniej drodze.

I nie jest to jedyną wadą sztuki Morstina. Możnaby wskazać jeszcze na inne, jak na dość niezręczną pod względem scenicznym architektonikę całego aktu drugiego, okraszonego wprawdzie silną i efektowną ale zupełnie niedostatecznie umotywowaną scenę z chłopem.

Także zbyt szkicowo traktowany romans starościca z podkomorzanką, która ku zdumieniu naszemu w ostatnim akcie okazuje się tak bardzo w uczuciach i zapatrywaniach swoich zmienioną, nie stanowi siły tego dramatu. Szukać jej trzeba i znajdujemy ją w jego formie poetyckiej pierwszorzędnego gatunku, a przedewszystkiem w znakomitem ujęciu i odzwierciedleniu ducha owej osobliwej epoki, w odtworzeniu poszczególnych prądów uczuciowych i myślowych nurtujących w piersiach owoczesnego pokolenia, w przedstawieniu skrótex tragedyi duszy polskiej i myśli politycznej polskiej...

„Szlakiem Legionów“ jest jako utwór sceniczny dziełem nie wolnem od wad i braków, nawet takich, których się bardzo podrzędni dramatopisarze skutecznie wystrzegają. Ale ma tę bezcenną zaletę, że jest emanacyą szczerego. rzetelnego i silnego talentu. Świeci z niej i grzeje ta iskra, którą wybranym tylko Pan Bóg nad czołem zapalił...

Osobiście poczuwam się do szczerej wdzięczności dla autora. Przeżyłem na przedstawieniu jego sztuki chwile pełne niezwykłego nastroju. Cóż wobec tego ważą zarzuty, które chłodna reflekcya krytykowi nasuwa pod pióro?!

O grze artystów dla braku miejsca szczegółowo rozpisywać się nie mogę. Wszyscy z p. Nuną Młodziejewską na czele dołożyli starań by przedstawienie wypadło jak najlepiej. **R.**

Z pod biegunów.

O dwóch niemieckich wyprawach naukowych, z których jedna skierowana była do bieguna północnego, a druga do bieguna południowego, doniosły niedawno telegramy. Wyprawa z pod bieguna południowego, którą kierował Wilhelm Filchner, powróciła i d. 7-go stycznia r. b. stanęła w Buenos-Aires.

Filchner, jak dotąd, okazał się bardzo skąpy w swych relacyach, tak, że zdołano uzyskać od niego zaledwie następujące szczegóły: Odkrył on na południu morza Wedella, pod 30° zach. dług. i, jak podaje, pod 67°35‘ poł. szer. geograf. nowy pas wybrzeża kontynentu antarktycznego, który to pas rozciąga się aż do 79 stopnia poł. szer., a którego dalszy ciąg tworzy na zachodzie baryera lodowa. Kraj ten nazwał on imieniem zmarłego niedawno regenta bawarskiego Luitpolda, baryerę zaś ochrzcił imieniem Wilhelma II. Kapitan okrętu ekspedycyjnego, nazwiskiem Vahsel, zmarł w drodze powrotnej, inni członkowie wyprawy mają się dobrze. Sam Filchner zadowolony jest z wyników swej podróży, pragnąłby jednak badania swoje prowadzić dalej i w tym celu zamierza przedsięwziąć w grudniu rb. drugą wyprawę na morze Wedella.

Wiadomości te są bardzo skąpe — i jak twierdzi w „Frankf. Ztg.“ redaktor „Globusa“ oraz badacz okolic antarktycznych Singer z Berlina, — błędne. Pomyłką jest mianowicie, według niego, niewątpliwie, jakoby nowy ląd znajdował się pod 67°35‘ poł. szer. Gdyby było prawdą, wówczas zarówno Wedell w r. 1823 jak też i ekspedycya szkocka pod Brucem w r. 1903 musieliby byli okrętami swemi przepływać przez ląd stały. Z najbardziej na południe wysuniętego punktu, do którego Wedell dotarł „pod 74°15‘ poł. szer. geogr., wnosił on z mnóstwa ptaków o bliskości lądu stałego na południu. Ten ląd właśnie został prawdopodobnie teraz przez Filchnera odkryty, tak, że w telegramie jego należałoby zamiast 67°35‘ postawić raczej 76°35‘. Relacye Filchnera nie donoszą też wcale, czy ekspedycya na ląd znaleziony wysiadła, czy na nim zimowała i odbywała na nim podróże saniami, czy też tylko śledziła wybrzeża jego okrętem. Nie wiadomo też, gdzie podczas zimy znajdował się statek. Singer przypuszcza, że wyprawa okrętu

nie opuściła, że Filchner widział ląd już w lecie 1911/12, nie mogąc jednak lądować, przezimował następnie na okręcie i powrócił, widząc niemożliwość dalszej podróży w lecie 1912/13.

Gdy Filchner na wiosnę 1910 r. wystąpił ze swoim planem, biegun południowy nie był jeszcze odkryty, a ekspedycya angielska pod Scottem, która pod koniec tego samego roku wybierała się na południe, miała właśnie ten cel na oku. Filchner zapewniał, że nie chce z nią współzawodniczyć w odkryciu bieguna. Miał on tylko rozstrzygnąć, czy i w jaki sposób obie części kontynentu antarkycznego są ze sobą połączone. Kwestya ta już została tymczasem zbadaną przez Amundsena, który stwierdził, że pole lodowe Rossa kończy się pod 86° poł. szer. geogr., gdzie mają się łączyć pasma górskie krajów Wiktoryi i Edwarda. Stosunki te jednak nie są jeszcze z całą ścisłością stwierdzone, a w szczególności nieznany jest kierunek pasma górskiego Maud. To było właśnie zadaniem Filchnera. By je rozwiązać, trzeba było wszakże wylądować i przedsięwziąć podróże saniami na południe. Czy się to Filchnerowi udało?— niewiadomo.

Wiadomy zaś wynik wyprawy Filchnera polega na tem „że znaleziono południowe wybrzeże morza Wedella i że Filchner dotarł dalej na południe, niz wszyscy jego poprzednicy w tej części okolic podbiegunowych.

Wyprawa Filchnera odbyła się kosztem ofiarności prywatnej. Statek jego, „Deutschland“ opuścił Bremę w maju 1911 r. i przez dłuższy czas przebywał na oceanie Atlantyckim, gdzie Filchner przeprowadzał badania oceanograficzne. W październiku udał się do Grytviken w południowej Georgii, a w grudniu 1911 r. wyruszył na południe. Od tego czasu aż do powrotu nie było o nim żadnych wiadomości, mimo, że statek zaopatrzony był w aparat Marconiego.

Lepiej spełnił swe zadanie telegraf iskrowy drugiej ekspedycyi polarnej, skierowanej wszakże do bieguna północnego, a raczej do Spicbergu. Wszelako wieści, które za pośrednictwem tego aparatu ztamtąd dochodzą, są wieściami Hioba. Dowódzca wyprawy, która wyruszyła na północ w sierpniu r. z., był porucznik Schroeder Stranz. Obecnie wiadomo, że okręt ekspedycyjny „Herzog Ernst“ leży w zatoce Treurenberg, u północnego wybrzeża Szpicbergu. Porucznik Schroeder Stranz jednak nie zimował na okręcie, lecz opuścił go wraz z kilku towarzyszami, by udać się w małą podróż saniami i nie wrócił więcej. Niewiadomo, co się z jego oddziałem stało. Taki sam los spotkał dwóch innych uczestników wyprawy: dra Moesera i Detmersa, którzy podczas odwrotu pod dowództwem kapitana Ritschera opuścili okręt i krótszą, jak im się zdawało, drogą, oddalili się w kierunku zatoki Adwentowej, dokąd jednak dotąd nie przybyli.

Wszelako ostatnie wiadomości, ja-



Wilhelm Filschner,
kierownik wyprawy do bieguna południowego.

kie o losach tej wyprawy nadchodzą, zaprzeczają tym wieściom pierwszym. Depesza, przysłana przez konsula niemieckiego w Tromsö do berl. „Lok. Anz.“ opiewa, że Ritcher, do którego się konsul zwrócił, doniósł telegraficznie, iż wszyscy są zdrowi i znajdują się na pokładzie okrętu „Herzog Ernst“. On sam tylko jeździł do zatoki Adwentowej. Zaś na telegram niemieckiej wyprawy arktycznej, wystosowany do Ritchera z prośbą o wyjaśnienie przyczyn, które go skłoniły do opuszczenia okrętu, nadeszła odpowiedź następująca: „Opuściłem okręt, bo niemożliwe było, mając prowiant najwyżej na cztery miesiące, żywić się przez osiem miesięcy. Przy pierwszej sposobności wyruszy stąd wyprawa do dra Ruedigera oraz innych, którzy pozostali.“

Wobec tak sprzecznej treści telegramów, czekać należy na dalsze wieści, wyjaśniające istotne położenie członków wyprawy.

Do silnych cierpień tylko silni są powołani. Silny tylko upada łamiąc się z łoskotem; słaby znika nieznacznie, rozłażąc się i gnijąc.

* * *

Głupi przy fortunie jest jak baran w złotem runie;
Uczony ubogi jest jak dyament w śmieciach drogi.

Minasowicz.

KRONIKA.

— **Zeszyt 3-ci „Pracy“**, wydany z powodu pięćdziesiątej rocznicy styczniowego powstania, już zupełnie wyczerpany. Ponieważ pragną go nabyć weterani, więc upraszamy Szan. Czytelników, aby zeszyty, wzmiankowane jeżeli im są zbyteczne łaskawie nam nadesłać zechcieli.

— **Rodak ogrodnik,** wydalony z pracy przez chlebodawcę Niemca z powodu bojkotu prosi o jakiebądź zatrudnienie stosowne. Informacyj udzieli Redakcya „Pracy“.

— **Biuro „Samarytanki“**, nowo założonego przez Tow. hygieniczne związku pielęgniarek, znajduje się przy ulicy **Wrocławskiej nr. 4 II p.** (w biurze „Towarzystwa katolickiej służby żeńskiej“). **Telefon 2557.**

W biurze można osobiście, listownie i telefonicznie zamawiać samarytanki na godziny, dnie i miesiące. Także egzaminowane masażystki są do dyspozycyi. Taryfa wyłożona w biurze.

Dr. Janina Żniniewiczówna.
Dr. Adam Karwowski.

— **Zarząd Tow. Przyj. Sztuk Pięknych we Lwowie**, zwraca się za naszem pośrednictwem do pp. artystów malarzy, rzeźbiarzy i grafików z prośbą uprzejmą o nadesłanie swoich obecnych adresów i powiadamianie Tow. o każdorazowej zmianie miejsca i pobytu w celu utrzymywania jak najdokładniejszej ewidencyi miejsc pobytu naszych artystów polskich.

— **Pani Marya Sierpińska z Poznania** nabyła na własność u wód w Lądkach (Bad Landeck i. Schl.) willę „Georgenhöh“ z obszernym ogrodem, tuż przy łazienkach i kurhauzie. Pani Sierpińska urządza tamże wzorowy i hygieniczny pensyonat dla kuracyuszów, szukających zdrowia u tamtejszych słynnych źródeł.

— **Znaczki jubileuszowe.** Biuro wydawnicze „Krakowskiej delegacyi Towarzystwa wzajemnej pomocy uczestników powstania z roku 1863“ wydało w pięćdziesiątą rocznicę powstania znaczki jubileuszowe. W roku jubileuszowym nie powinien żaden list, pocztówka, rachunek, pakiet, bilet wstępu do miejsce rozrywkowych obejść się bez znaczków, z których czysty dochód może się stać znaczną pomocą dla niezdolnych obecnie do pracy uczestników powstania.

Znaczków tych dostarcza na żądanie niżej podpisany w swojem mieszkaniu przy ulicy Rycerskiej 10, oraz wysyła za poprzedniem nadesłaniem należytości.

Cena za 1 seryę (5 znaczków) 20 hal. — 16 fen. Cena za 1 kopertę (5 seryi) 1 kor. — 80 fen.

Kaźmierz Walent.
Poznań (Posen O. 1. „Abholer“).

— **Walne zebranie Stowarzyszenia Drukarzy polskich w Poznaniu** odbyło się dnia 18-go b. m. Z odczytanego na niem sprawozdania wyjmujemy co następuje:

Stowarzyszenie liczyło członków pod koniec roku 1912 151, ubyło 10. wstąpiło 8, czyli pozostaje na rok 1913

149 członków. Stan kasy w dniu 31. 12. 11. wynosił 23,956 mk. Dochodu było od 1. 1. 12. 7241,75 mk. razem 31198,35 mk. Rozchód wynosił w tym samym czasie 3539,24 mk. Stan kasy na dniu 31. 12. 12. 27659,11 mk., czyli nadwyżki 3702,41 mk. Biblioteka liczy 1096 tomów.

Z powodu tak pomyślnej nadwyżki przyjęło walne zebranie przez zarząd podaną zmianę ustaw, z której wynika, że wsparcie w razie choroby, bezrobocia i pośmiertne zostały znacznie podwyższone, bez podwyższenia składek. Równocześnie przyjęło walne zebranie propozycyę złożenia funduszu rezerwowego w wysokości 20000 mk., z których to odsetek dopłacać będzie Stowarzyszenie pewną kwotę miesięcznie tym członkom, którzy przez lekarza uznani zostaną do pobierania renty państwowej.

Poznań-Jeżyce, dnia 25 stycznia. Tutejsze Towarzystwo „Sokół" obchodziło dziś w kółku ściśle zamkniętem wieczornicę ku czci obchodu 50 letniego powstania styczniowego. Salka posiedzeń Sokoła napełniła się po brzegi członkami i ich rodzinami. Przy stole Zarządu zasiadło kilku zaproszonych na wieczornicę weteranów. Uroczystość zagaił i powitał zebranych prezes druh J. Tucholski. Prolog wygłosił z swadą druh Bolesław Samoliński, Marsz skautowy odśpiewali druhowie Laufer i Wojtkowiak. Świetny wykład wygłosił druh Karol Rzepecki. Udał się także znakomicie śpiew solowy druha Koczorowskiego „Pieśń rycerska". Z udatnemi deklamacyami wystąpili druhowie Sobkowiak, J. Tucholski i Bolesław Samoliński. W końcu podziękował w imieniu towarzyszy broni p. Prewczyński za zaproszenie i miłe przyjęcie. Następnie prezes w serdecznych słowach podziękował za liczny udział i wzorowy porządek, zachęcając do dalszej pracy na niwie narodowej i solwując uroczystość hasłem: Cześć i Czołem Ojczyźnie!! K.

— **Stowarzyszenie Artystów** odłożyło zapowiedzianą dawniej wystawę na kilka tygodni, aby w salonie swym udzielić gościny „Sztuce Krakowskiej" Członkowie „Stowarzyszenia Artystów" mają na wystawę „Sztuki" wstęp zniżony, a mianowicie płacą tylko 50 fen. Każdorazowo lub za bilet miesięczny dla całej rodziny 1 mk.

Nie wątpimy, że wspaniała wystawa „Sztuki" zainteresuje wszystkich miłośników i już na wernisaż zapełnią się gościnne salony Stowarzyszenia przy placu Wilhelmowskim 14a gośćmi, w ciągu zaś lutego podąży cała prowincya, aby zapoznać się z dziełami reprezentantów nowszych kierunków sztuki krakowskiej.

Dla ruchliwego zarządu Stowarzyszenia Artystów będzie to najlepszą podzięką za to, że oddając swe lokale Sztuce do dyspozycyi umożliwiła Poznaniowi zapoznanie się z obrazami, które niebawem wystawione zostaną w Berlinie.

— **Szanownym Spółkom,** które dla nawału pracy bilansów jeszcze nie ustawiły zwracamy uwagę na ogłoszenie pod **B. 1.**

Nekrologia.

† **Ś. p. Stefan hr. Kwilecki** z Jankowic rozstał się z tym światem w Wrocławiu, poddawszy się operacyi. Zmarły cieszył się ogólnym szacunkiem, a bodaj, czy miał niechętnych lub przeciwników. Cechowała go niezwykła dobroć serca i chęć służenia i sprawie i przyjaciołom. W kole swem pełnił obowiązki gorliwie i od żadnej pracy się nie usuwał. Zmarł w kwiecie wieku, więc żal nam tego obywatela młodego, tak miłego, chętnego i prawego. Cześć jego pamięci. — **Ś. p. Piotr Kuliński,** żołnierz z roku 1863, zmarł nagle dnia 20-go b. m. w Bursztynie w Galicyi. Urodzony w roku 1836 w Sulżynie w powiecie zasławskim na Wołyniu, służył w kawaleryi oddziału zasławskiego pod komendą generała Góżyckiego w 2 pułku jazdy ruskiej. Brał udział w potyczkach pod Nuczypałami, Miropolem, Mińkowcami, Łuszkami, Salichą i w zajęciu Sławuty. Zacny, uczciwy, szanowany i ceniony przez wszystkich, którzy go poznali, osiadł w Galicyi, gospodarował i mieszkał stale w Kolędzianach obok Czortkowa. Wybierał się właśnie na zjazd weteranów do Lwowa, jednak śmierć nie pozwoliła mu na tę przyjemność widzenia starych swych towarzyszy broni. — **Ś. p. Wacław Kubala,** weteran z roku 1863 w Grodzisku. — **Ś. p. Marya z Engerów Regulska,** dnia 21-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 76. — **Ś. p. Helena Wiśniewska,** dnia 23-go b. m. w Stęszewie, licząc lat 28. — **Ś. p. Franciszek Sikorski,** dnia 20 b. m. w Bydgoszczy, licząc lat 39.— **Ś. p. Maryanna z Zielińskich Łukowska,** dnia 21-go z. m. w Inowrocławiu, przeżywszy 98 lat. — **Ś. p. Maryanna Krajewska,** dnia 25-go z. m. w Toruniu, przeżywszy lat 82. — **Ś. p. Józef Krobski,** dnia 24-go z. m. w Mogilnie w 75-ym roku życia. — **Ś. p. Jadwiga Moszczeńska,** dnia 21-go z. m. w Psarskiem. — **Ś. p. Alwina z Krzywickich I voto Harkiewicz II voto Krzyżanowska,** dnia 13 z. m. Pogrzeb odbył się w Lutogniewie pod Krotoszynem. — **Ś. p. Jadzia Chmielewska,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu w 12-ym roku życia. — **Ś. p. Marya Baranowska,** dnia 22-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Adela Oppen** dnia 23-go z. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Józef Chuderski,** dnia 23-go z. m. w Berlinie, przeżywszy 50 lat. —**Ś. p. Marya Małecka,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu. **Ś. p. Michał Rajewski,** dnia 26-go z. m. w Woniarodzie w 57ym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Raciążu. — **Ś. p. Walenty Tomaszewski** z Wilkowa, dnia 28-go z. m. w Pakości, gdzie się odbył pogrzeb dnia 1-go b. m. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Anonimowi ze Śląska, chociaż sympatycznemu.** Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale ze względu na skromność naszego redaktora nie zamieścimy

— **Pani K. H. w H. na obczyźnie.** — Cieszy nas bardzo, że nasz „Kalendarz książkowy" tak się podoba Szan. Pani i Jej mężowi. Za serdeczne podziękowanie Bóg zapłać.

— **Pani Maryi N.** — Nowelka „Nawrócony" nie nadaję się do zamieszczenia w „Pracy".

— **Panu Janowi P. w O.** — Nowelka „Czy wróci?" nie będzie drukowana.

— **Panu Hieronimowi P. w T.** — Szkic „Potęga pieśni" nie będzie drukowany.

— **B. C.** — Anonimów się nie uwzględnia.

Nowe książki i treść pism.

— **Dr. Nikodem Pajzderski** „Ratusz Poznański". Tom I. Biblioteki Wielkopolskiej. Nakład p. M. Niemierkiewicza. Cena 2,50 mk.

Na poparcie i uznanie zasługuie nowe wydawnictwo ruchliwej księgarni M. Niemierkiewicza w Poznaniu. W zaborze naszym ruch wydawniczy — jakkolwiek bezporównania żywszy niż przed niewielu jeszcze laty — nie osiągnął jeszcze tego poziomu i tej intensywności, jakiejby się tak ze względu na liczebność jak wysoki poziom kulturalny społeczeństwa naszego spodziewać należało. Wszelkie więc nowe użyteczne wydawnictwa witać należy z najżywszem zainteresowaniem i wspomagać czynnem poparciem. Zainicyowanie wydawania „Biblioteki Wielkopolskiej" przynosi zaszczyt młodej firmie wydawniczej p. Niemierkiewicza, a pierwszy tom wydawnictwa, przynoszący pracę pióra autora tak powołanego, jakim jest p. Dr. Pajzderski, pozwala się spodziewać dalszych cennych prac z dziedziny kultury i sztuki naszej.

Treść dzieła p. Pajzderskiego jest następująca: I. Ratusz i jego znaczenie. II. Pretoryum gotyckie 1300—1550. III. Ratusz renesansowy 1550—1793. IV. Ratusz od 1793—1911 r. V. Restauracya ratusza w r. 1911 i 1912. VI. Z kroniki ratuszowej. VII. Legendy i podania. Uwagi.

Dzieło napisane ze znajomością rzeczy, odznacza się dobrym stylem i potoczystym, zajmującym wykładem. Kilkanaście pięknie wykonanych ilustracyj, sporządzonych według zdjęć fotograficznych i rycin pędzla art. malarza p. Gosienieckiego, zdobi to także pod względem fotograficznym wzorowo w zakładzie p. F. Ziółkowskiego wykonane dziełko. Życzymy książce tej jaknajliczniejszych czytelników.

Reklamy.

S. KLUPIEĆ, Poznań

ul. Szeroka nr. 27|29

Jeydny tego rodzaju istniejący

zakład zegarmistrzowski, złotniczy, rytowniczy i optyczny

pędzony siłą elektryczną. 359

Brylanty okazyjne | Specyalność: | **Warsztat reparacyjny**

Liszaj

mokry i suchy liszaj łupież, skrofuły pryszcze wyrzuty skórne, wszelkiego rodzaju

otwarte nogi,

obrażenia nóg, wrzody na nogach żyły kurczowe, bolące palce, zastarzałe rany są często upo czywe kto dotychczas daremnie oczekiwał wyleczenia, niech jeszcze raz spróbuje od dawna jak najlepiej wypróbowanej 2

maści Rino

wolna od szkodliwych składników Puszka 1,15 mk. i 2,25 mk. Codzie otrzymujemy pisma dziękczynne Tylko prawdziwa w oryginaln opakowaniu biało-zielono-czerwonem i z firmą Rich. Schubert & Co Weinböhla-Dresden, chem pharm labor. Naśladowań nie trzeba przyjmować. Do nabycia w aptekach

Główny skład: Czerwona Aptek. Poznań. St Rynek 37



Kto chce się żenić?

niech zaraz zamów katalog i mia y n Ślubne obrączki, na zegarki, łańcuszki, gramofony, harmonijki, skrzypce, klarnety, kołowce, b zyty, rewolwery, maszyny do szycia etc. od Strzeleckiego, bo wszędzie z drogo Pan kupuje. 290

Adres: **J. Strzelecki,** **Mogilno — Posen.**



Meinel & Herold

fabryka harmonik

Klingenthal (Sachsen) Nr. 181

Zadziwiające najtańsze i najlepsze źródło zakupu dla **harmonik** wszelkiego rodzaju. 58

1, 2, 3, 4 rzędowe i 2, 3, 4, 6 i 8 chórowe, jako też **wiedeńskie harmoniki** przeszło 200 numerów.

Harmoniki ustne, bandoniony, gitary, skrzypce, cytry, flety, okaryny, cytry, gitary, katarynki

Zamow. od 10 mk pocz. w Niemczech **porto wolne.**

Gwarancya: Odło ...wio pieniędzy Nowy główny katalog każdemu frank.

Polecam się do 28

ustawieni bilansów i inwentur,

zaręczając dyskrecyą. Zgłoszenia pod **B. I.** do **Eksp. „Pracy".**



Żądajcie cennik franko i darmo na zegarki, budziki i łańcuszk broszki pierścionki, kolczyki, krzyżyki, medaliki, breloki, branzoletki, korale, lornetki, termometry, b zy wy, noże, maszynki do spuszczania włosów nożyczki, pistolety, rewolwery, stemple, drukarnie portmonetki, kufry, fajki, cygarniczki, gramofony, płyty polskie, harmoniki flety, klarnety, skrzypce, bębny, tamboriny, książki do nabożeństwa i powieściowe, perfumy, garderobę męską, obuwie, szelki, rękawiczki, damskie, bluzki, suknie, chustki fartuchy itd. Adres: **Hieronim Lilgner, Berlin, Pa lstr. 8.** 357

Dobry tłusty ser tylżycki 468

netto 9 funtów za mk. 8 80.

H. Sievers, Kalthof b. Königsberg (Ostpr)

Fortepiany

DRYGAS

Karty wizytowe

od 1,50 mk począwszy poleca

Drukarnia „Pracy"

Rycerska 38.

„PRACA"

kosztuje kwartalnie tylko 2,00 mk.

MYDŁO Regera

nie szkodzi bieliźnie ani praczce.

Proszki do prania t zw. samo działające niszczą bieliznę i ręce. 419

Paczka funtowa **mydła Regera** kosztuje tylko **40 fen.**

Dwa domy

wartościowe w mieście powiatowem blisko Poznania są z zaliczką 10 odnośnie 15,000 marek do sprzedania. 26

Bliższa wiadomość pod lit. N N. postlagernd **Jaroschau.**

Lakierki

i półlakierki mamy na składzie w wytwornych fasonach.

Cena jednolita dla pań i panów mk. **12,50**

Wykonanie luksusowe mk. 16,50

Prosimy żądać katalogów.



Salamander

Tow. (b wia z o. p., Berlin

POZNAŃ

Plac Wilhelmowski 7.

MARKE SALAMANDER



Dziki.

Mój pierwszy dzik.*)

Im więcej człek się starzeje, tem milej wspomina dnie swej młodości, częściej myślą ku nim się zwraca, budzi chętniej zacierające się w pamięci wspomnienia, których obrazy niekiedy tak żywo i jasno stają przed oczami, jak gdyby one były wydarzeniami dni wczorajszych. Dziś właśnie ubiega 25-letnia rocznica zabicia mego pierwszego dzika. Na owe czasy byłem jeszcze młodym zupełnie. Świat wtedy był tak piękny, widziałem go tylko w barwnych kolorach, a wszystko, na com patrzał, zdawało się do mnie uśmiechać i wabić swym urokiem. Słońce wtedy było jakieś inne i cieplej jakoś grzało, księżyc jaśniał więcej i łagodniejsze zdawał się rzucać światło na uśpioną ziemię i gwiazd było więcej, milszem jaśniały światłem, ponętniej mrużyły swe oczka i wabiły ku sobie. Strumyki leśne, ukryte w gajowej ciszy, szemrały przyjemniej, wiatr w sosnowych borach huczał tajemniczej i ciekawszą wiódł wieczną swą rozmowę; łąki jaskrawszem przyozdobiały się kwieciem, trawy żywszą okrywały się zielenią, delikatniejszą wonnością pachniały zioła i kwiaty. Śpiewy ptaków też były inne, więcej czyste i melodyjne, słowik, ukryty w jaśminowych krzewach i bzowych alejach, w ciepłą noc letnią rzewniej, tkliwej a umiejętniej nucił swą miłosną piosnkę. Wszystko naonczas zdawało się innem, nawet ludzie byli lepsi, ufność do nich większa i miłość szczersza. A dziś? czyż warto zastanawiać się nad tem? Powrócę więc lepiej do zaczętej opowieści. W 1884 r. zarządzałem znaczną majętnością pp. G. w Pułtuskiem. Nie wiem, czy dzisiaj istnieją tam jeszcze te rozległe, dziewicze prawie a piękne obszary leśne, które na owe czasy były prawdziwą krasą naszego kraju ukochanego, gdzie w 63 r. rozegrały się krwawe walki o wolność i swobodę, gdzie dwóch braci Ziemnickich w dwóch wrogich sobie walczyło szeregach. Część lasów i niemal całą siedzibę pp. G. dziki doniec ogniem i mieczem zamienił w perzynę, a złupione dobro uwiózł w dalekie stepy rodzinne. W okresie mego opowiadania Czarnochów przedstawiał piękną fortunę, na którą patrzano z zazdrością, a chciwy zysku Izrael łapczywie czyhał. W lasach tych mieliśmy obfitość różnego zwierza; sarna, lis, borsuk, kuna i wydra stałymi byli tu mieszkańcami, a od czasu budowy Żegrzyńskiej fortecy przybyło nam sporo dzików, których ustawiczny niepokój w lasach Radziwiłłowskich zmuszał do przeniesienia się w spokojniejsze okolice. Odwieczne dębowe knieje, gdzie promień słońca tylko rzadko zaglądał, a wieczny półmrok panował, rozrzucone po całej przestrzeni i gęstą podszyte leszczyną, dawały zwierzowi należny spokój i obfite pożywienie. W dogodnych tych dla siebie warunkach zwierz chętnie się płodził i pomnażał obficie. W krótkim już czasie mieliśmy kilka stadeł dzików — paru pojedynków-odyńców, włóczących się po kniei, a przerażających swem pojawieniem małych pastuszków i lękliwe baby. Właściciel p. Karol G., choć był dobrym myśliwym i wcale niepoślednim strzelcem, przekładał nad trudy łowieckiego życia domowe pielesze i chętniej zażywał wczasów przy boku swej pięknej małżonki, aniżeli niewygód myśliwskich; nie wzbraniał mi przecież oddawać się temu sportowi z całą namiętnością i młodzieńczym zapałem. Wyzyskiwałem też każdą wolną chwilę i niejeden ranek, niejedną noc lub dzień świąteczny spędzałem w umiłowanej kniei na tropieniu zwierza lub obserwacyi jego zwyczai i życia w nowych przesiedleń-

*) Opowiadanie wyjęte ze zeszytu I.go r b. „Łowca Wielkopolskiego“, znakomicie redagowanego i poczytnego dwutygodnika ilustrowanego, organu Towarzystwa Łowieckiego w Poznaniu, wychodzącego rok siódmy.

czych warunkach. Wspólnie z leśną strażą prześladowałem zawzięcie kłusownictwo, tu nie mniej jak gdziekolwiek rozwinięte. Ileż to razy, nie pomnąc na mróz, zawieruchę lub słotę dosiadałem mego rączego wronego dońca i w towarzystwie mych nieodstępnych Rabusia i Burna pędziłem do kniei, gdzie poczciwy leśniczy Szczodrosin mnie oczekiwał. Jakkolwiek dziki należały czasowo do odkonnej zwierzyny, to spotkanie się z niemi było jedną z mych pasyj — brałem więc na cel każdą odszukaną sztukę, a choc pokusa była dla mej gorącej i namiętnej natury zbyt wielką, umiałem zawsze opanować ją i dziki spokojnie wędrowały dalej. Nieraz me pieski osaczały całe stado, lub pojedynka, niekiedy nawet zajadłe toczyły z niemi walki, z których nie rzadko me pieski pokiereszowane wychodziły. Bo mój Rabuś był sprzecznego ze mną zdania, atakował każdą sztukę na oko wziętą, prześladował zawzięcie i gonił do upadłego. Raz przyniósł mi sporego warchlaka na wpół żywego, lecz zdobycz tę o mało nie przepłacił życiem: rozjuszona maciora cięła go fatalnie w łopatkę i omal nie rzuciła się na mnie w chwili, gdym przyszedł z pomocą.

W początkach stycznia wspomnianego roku odbyło się pierwsze walne polowanie w czarnochówskich lasach Uczestniczyło w niem wielu panów i znanych w okolicy pogromców dzielnych jak śp. Wiktor Urbanowski, Zglinicki i Dłużewski. Nie brakło też i delikatnych, okolicznych paniczów, sędziów i podsędziów więcej z kałamarzem i piórem niż z flintą i dzikami obytych. Wielu z tych paniczów wabił Czarnochów swą gościnnością i uroczemi twarzyczkami dorastających cór pp. G. Polowanie zakończyło się skandalicznem fiasco. Dziki, ruszone w dwóch miotach, wyjść na linię strzelców nie chciały — parły na boki lub uderzały w nagankę, przerywały ją i cofały się w tył. Ale wina była głównie po stronie zbyt czułych na zimno miejskich paniczów, którzy niespokojnie zachowywali się, palili papierosy lub głośną prowadzili rozmowę. Właściciel był niemile podrażniony tem niepowodzeniem, a ja z leśniczym S. czuliśmy się poniekąd zawstydzeni, tem więcej, gdy żartobliwy p. Dłużewski brał nas na fundusz i chciał iść w zakład, że durniem go nazwie ten, kto w Czarnochowie dzika zabije. Nie długo czekałem na ten tryumf a skonfundowanie poczciwego nieboszczyka. — Upłynął miesiąc, a w obszernym domu pp. G. zaroiło się od gości. Był koniec karnawału i spore grono młodzieży, krewniaków i aspirantów do rączek przystojnych a posażnych pp. G. zjechało. Byli tłuści, byli chudzi, ładni i brzydcy — bogaci i mniej zamożni — blondyni i czarni, nawet łysego nie brakło i kilku półłysych; rolnicy, sądownicy i medycy, trochę artystów, jeden poeta. Bawiono się ochoczo, grano, tańczono, młodzież popisywała się zręcznością w zabawach, gracyą w tańcach, dowcipem w rozmowach i zapałem we flirtach (co na owe czasy zwano mizdrzeniem się), aż wreszcie młodzież zapragnęła w oczach płci pięknej złożyć dowody siły, odwagi i nieustraszonego męstwa w zapasach z dzikiem zwierzem.

Na 12-go lutego ex impromptu postanowiono zapolować na dzika. Wczesnym rankiem wesołe grono nemrodów zapełniło rzęsiście oświetloną jadalnię. Każdy pełen otuchy i animuszu dziś rokował sobie świetne powodzenie, liczył na swą przewodnią gwiazdę, słał ciche modły do św. Huberta lub mizdrzył się do starej Dyany. Jakiś żartowniś wniósł nawet kielich na jej cenne zdrowie, chcąc zaskarbić sobie jej łaski. Pod koniec śniadania zjawiło się grono pań i panien, świeżych, rumianych, wesołych i uśmiechniętych, pachnących jeszcze ciepłem łóżeczek. Niejedna zapewne z tych uroczych istotek przyszła raz jeszcze spojrzeć na wybranego, życzyć mu szczęścia, a może nałożyć mu rycerską przepaskę, pod której znakiem miał dziś walczyć ze srogim przeciwnikiem. Plątały się urywane zdania — krzyżowały strzeliste spojrzenia, każdy miał coś do powiedzenia, lub pożądał miłego słówka. Pan Kajetan uspakajał wejrzeniem i słowy nadobną swą narzeczoną i zapewniał ją o swej rozwadze i sprawności, jakiś nizki, łysy, pękaty podsędek zwracał uwagę ogółu na prawidła myśliwskie, chudy jak wiórek, o suchych piszczelach — długiej szyi i żylastych rękach jegomość wiódł żywą sprzeczkę z p. H., gestykulując zawzięcie, a stary p. G. dawał przestrogi swemu zbyt ufnemu w siebie synowi p. D. „Damianku, nie strzelaj na sztych, a przepuść zwierza po za siebie, odlicz 3-cie żebro i pal.“ Wreszcie dźwięk trąbki, sygnał odjazdu, nakładamy futerka i dążymy do oczekujących nas oddawna sanek. Chmura białych, różowych chusteczek powiewa na ganku, kilka życzeń „szczęścia“ z pięknych usteczek i my nikniemy za bramą dworu. Mróz siarczysty, sanie mkną raźnie po ubitej drodze, z koni bucha para kłębami — parskają ochoczo na dobrą wróżbę. Niebawem i knieja przed nami, cudowny obrazek zimowy. Bory osypane śniegiem chylą swe ciężkie konary ku ziemi, błyszczące miriadami brylantowych gwiazdek w świetle przedzierających się przez nie promieni wschodzącego słońca. Panuje tu taki spokój i cisza, że własnego serca słychać uderzenia. Szczodrosin podnosi mosiężny różek do ust, nadął policzki i dźwięczny głos trąbki dalekiem echem rozniósł się po całej kniei. Był to sygnał rozpoczętych łowów — każdy podążył na wskazane mu miejsce. Głuchy, daleki gwar, niekiedy stuknięcie w pień drzewa lub krótki świst dochodzą do naszych uszów i elektryzują tak mocno napięte nerwy. Wtem na lewem skrzydle wrzawa, krzyki i zgiełk okrutny, poczem dwa szybkie strzały i cisza zupełna. To p. D. pomylił się w odliczeniu 3-go żeberka. ale cóż to dziwnego, przecież każdy z nas myśliwych wie dobrze, że do chybienia zawsze większa dziura, jak do trafienia. W drugim miocie niewczesnym strzałem do lisa p. H. spłoszył idące stado na centr linii, czem oburzył na siebie całą kompanię. O 12-tej przybyło kilka pań z bigosem i przepalanką. Przy talerzu i kieliszku obok płci nadobnej poprawiły się humory nawet naszym niefortunnym towarzyszom. A ja tymczasem posyłam po me pieski, p. C. z Kozłowa przywozi swą trójkę kundysią. Nie zdążyliśmy jeszcze pożegnać się z paniami, gdy w kniei zagrała najmilsza dla ucha myśliwego muzyka. Wyraźnie rozróżniam głosy piesków: Burek dyszkantuje, Zaboj altem ciągnie — Cięta tenorem wtóruje, a mój Rabuś góruje nad wszystkiemi basem okrutnym. Wrzawa coraz silniejsza — to w samym środku kniei, to znów na jej skraju, — czasami milknie zupełnie, niekiedy tylko pojedyńcze głosy lub skomlenie. Mimo nacierań i zajadłych ataków psów uparty zwierz z kniei ruszyć się nie chce, przeczuł widać grożące mu niebezpieczeństwo. Wystrzał w środku kniei rozbija stado i zaczyna się inna, odmienna muzyka — każdy pies zdaje się gonić na swą rękę. Słyszymy ujadanie na prawo, na lewo, to w środku kniei, to tuż pod linią strzelców, a zwierza jak nie widać tak nie widać. Już całą nadzieję tracić zacząłem, gdy z przeciwnej strony zaskowyczał mój Rabuś, a po chwili ciężki bieg zwierza po chrupkim śniegu i chrzęst łamanych gałęzi wyraźnie słyszę, idzie wprost na mnie, przystaje często, odcina się psim atakom lub sam naciera. Teraz już wyraźnie pojmuję kłapanie szczęk krzepkich zwierza, prawie słyszę jego sapanie. Tu mój Rabuś żałośnie zaskomlił i w chwili, gdy biednemu psu chciałem pobiedz na odsiecz, ogromna,



Dzik odcinający się atakom psa.

czarna masa runęła z gęstwiny wprost na mnie, jak piorun z łona ciemnej chmury. Wzięcie zwierza na cel, pociągnięcie cyngla było jednem okamgnieniem — huk rozdarł chwilową ciszę i z trzaskiem łamanych gałęzi zwierz runął martwy u nóg moich, wyrzucając kłęby krwawej piany z paszczy i brocząc krwią obficie. Kula przedarła serce na wylot. Na znak tryumfu zagrałem w różek, a zanim ułożyliśmy zdobycz na saniach, czas był pomyśleć o powrocie do domu. Nie u wszystkich były wesołe miny. Niejeden panicz powracał z wydłużoną fizyognomią i opuszczonym nosem, a szczególniej ci, co tak chełpliwie głosili o swej zręczności i odwadze, byli niepocieszeni w dniu dzisiejszym. Najgorzej jednakże czuł się dziś ten, który na gałęzi drzewa szukał bezpieczeństwa przed dzikiem, przepuszczając go bezkarnie o kilkanaście kroków od siebie. Przy pochodniach i odgłosie trąbek wjechaliśmy w dziedziniec, gdzie nas całe grono pań i panów oczekiwało. Jakże nie swój czuł się w ten wieczór zacny p. Dłużewski!

W kilka miesięcy później dowiedziałem się, że i mnie ktoś życzył powodzenia w ten pamiętny dla mnie dzień, a choć nie powiewano różową chusteczką, życzenie było prawdziwie szczere i niech dziś mi pozwolonem będzie złożyć me „Bóg zapłać“ za nie.

Dziwnie się plecie na Bożym świecie — oto równo w 20 lat potem w ten sam dzień i o tej samej godzinie 12/2 1904, zabiłem 4 ostatnie moje dziki, ostatnie, bo wątpię, bym kiedyś jeszcze na nie zapolował. Zabiłem ostatniego w całkiem odmiennych warunkach na dalekiem pograniczu perskiem — w dżungli Dżylijskiej, w okolicy Araratu.

Wł. Czerniejewski.

Obleć orle!...

Obleć orle polskie kraje,
Polskie miasta, polskie wioski,
Góry, lasy i ruczaje,
Usuń z kraju ból i troski.

Uderz skrzydłem o niebiosy,
Z srebrnych piór otrząsaj rosy,
Leć do pługa i do kosy,
I tam osłódź gorzkie losy.

Leć po Polsce pod Prusakiem,
Pod Moskalem przez Warszawę,
I tam bądź swobody znakiem,
Otrzyj skrzydłem oczy łzawe.

Załóż gniazdo w każdym domie,
Czy w bogatym, czy w ubogim,
I w każdym nieszczęścia gromie,
Bądź pocieszycielem błogim.

Weź pod skrzydła polskie dzieci,
Dręczone obcym językiem,
Niech widzą te wnuki kmieci,
Żeś polskiej mowy strażnikiem.

I tym, co wygnani będą
Ze swej chaty, ze swej roli,
Gdziekolwiek biedni osiędą,
Zanieś ulgę w smutnej doli.

Jak jaskółka lataj żwawo
Za polskimi wychodzcami,
Niechaj wrócą z dobrą sławą,
Nieskalanemi cnotami.

Obleć orle polskie kraje,
Polskie miasta, polskie wioski,
Góry lasy i ruczaje,
Odgoń z kraju ból i troski!

Józef Nocek.

Walec.

Walec jest tańcem dziewiętnastego stulecia i w trzyćwiartkowym takcie u wszystkich prawie pojawił się narodów. Francya usiłowała przypisać sobie wynalazek wytwornego tego tańca, szukała w prowensalskiej wolcie początku rytmicznego jego wdzięku, ale w narodowym tańcu w Południowej Francyi nie ma ani odrobiny tej lekkości i czaru, jakim się właśnie odznacza walec; może tańczyli go ocię-żali pierwsi Germanie, bo wiadomem

jest, że pochodzi z wiejskiego „laendlera“.

Zawsze muzyka tworzy tańce. Poważne „pavannes“, „couranty“ wymagały tańcy równie poważnych, chodzonych, przerywanych głębokiemi ukłonami. Później nastąpiły ogniste sarabandy, importowane z Hiszpanii — spokojny „cassedance“ usiłuje raz jeszcze pohamować ich dzikość, lecz szalona „galliarda“ zwycięża go zupełnie!

Za panowania Ludwika XIV i w Grand siècle tańczono w Francyi najpiękniejsze w Europie tańce. Anglia dostarczyła wiejskiego „contre“, przerobionego w Paryżu na salonowego kontredansa, Niemcy zaś „allemandę“ z której bardzo prędko rozwinął się walec. Wszystkie figury „allemandy“ tańczono w takt walca, a cała nowość tańca polegała na tem, że tańczyła go każda para osobno i nie chodziła, tylko obracała się w około.

Nowy taniec wywołał prawdziwą rewolucyę w towarzystwie. Nazwano go zmysłowym, nieprzyzwoitym, matki zakazywały go tańczyć córkom, z drugiej znów strony przepadano się za nim, zachwycano się jego rytmem i nazwano od razu „królem tańcy“. W Niemczech powstawali nawet księża przeciwko temu „anarchiście, zrywającemu wszelkie reguły porządku i obyczajności“, w Francyi zato, Austryi i innych krajach ucywilizowanych tańczono go z prawdziwym zapałem.

Zwolna jednak zdobył sobie walec wszędzie prawa obywatelstwa. Może dlatego, że jest wyobrażeniem skromności, że nie wymaga przepychu i zbytku i kosztownych kostyumów — tylko wdzięku i zręczności. Jedna para jest niezależną od drugiej, jedna podobną do drugiej, bo każda chce się swobodnie obracać, okręcać, walcować.

A przecież jest walec niebezpiecznym — wszakże Werther zaprzysiągł się, że nie pozwoliłby nigdy kobiecie, którą kocha, tańczyć walca z innym!

Dziś zupełnie inaczej tańczy się walca! Dawniej potrzeba było dużo temperamentu do dobrego odtańczenia go, dziś chodzą pary wolno, raz po raz obracają się — idą naprzód i w tył — jest to wygodne i męczące, ale to nie walec!

Dawniej tańczono go trochę prędzej, było to kołysanie się, pełne wdzięku, był to zachwyt, upojenie, czego dziś nie ma wcale. Dawniej był to rzeczywiście

„walczyk, taki niewinny,
a taki rzewny, melancholiczny,
czasem namiętny, czasem dziecinny,
a zawsze piękny, a zawsze śliczny“..

Najpiękniejsze walce są bezwątpienia Straussa, „króla walcy“, chociaż właściwie „ojcem walca“ jest Lanner. O ile walce Lannera są rzewne, sentymentalne, o tyle mają walce Straussa nieporównaną ciętość, szaloną wesołość i ogromną werwę. Gdy ktoś słyszy dźwięki walca „Nad Modrym Dunajem“, albo „Róże Południa“... nie musi już mieć odrobiny zapału, jeżeli wtenczas pozostaje spokojnym. Młodzi pragnęliby tańczyć, starzy uśmiechają się na wspomnienia młodości — bo któżby nie miał wspomnień — przetańczonych walcy?...

M. P.

Dział kobiecy.

O piękności nóg i o podwiązkach.

Wytworny świat angielski zrobił w obecnym sezonie wielkie odkrycie, to jest: że ludzie mają nogi. Dotychczas bowiem była angielskim paniom i panom noga nieznaną wielkością, uznawano ją tylko o tyle, o ile potrzebną była do chodzenia i do obuwania się w bardzo kosztowne trzewiki. Dopiero nowa moda krótkich sukien zwróciła uwagę elegantek na nogi, i tak został ceremoniał dworski, zakazujący królowym „mieć nogi,“ odrazu zniesionym.

Zaraz potem ukazały się kolorowe pończochy i na krótki tylko czas — brylantami wysadzane „bransoletki“ w około kostki. W każdym razie było to początkiem teraźniejszej mody dla nóg.

Trzewiki więc nie są modne! Kto chce należeć do eleganckiego świata, musi nosić sandały — tylko w sandałach można uwydatnić kształt pięknej nogi. Jeżeli się pielęgnuje ręce, to i nogi należy pielęgnować, to samo więc co przyznawano dotąd rękom, należy się i nogom. To też „pedikury“ mają w wytwornych „etablissements de beauté“ w zachodnich dzielnicach Londynu więcej zajęcia niż „manikury.“ Właściciele tych zakładów przyznawają sami otwarcie, że nigdy nie mieli tyle roboty, jak w tym sezonie. Z początku myśleli, że to chwilowy kaprys pięknych dam i „złotej młodzieży,“ że to ciąg dalszy kąpania nóg w rosie porannej, lecz w zimie nikt boso po trawie nie chodzi. I podczas kiedy dawniej starzy ludzie wzywali „pedikurów,“ to teraz wzywają ich wyłącznie prawie młodzi. Każda dama pragnie, aby noga jej była białą i różową, małą i zgrabną. Największy wpływ na tę nową modę wywierają wschodnie tańce, wymagające bosych nóg — latem może to bardzo być wygodnie, a nawet zdrowo, ale zimą.....

W Francyi dzieje się wręcz przeciwnie, tam o bosych nogach — chwilowo przynajmniej, panie słuchać nie chcą. Przeciwnie, nigdy pod względem pończoch i trzewików nie panował tam taki zbytek, jak teraz.

Że zaś w modzie nie ma ani końca ani początku, przeto nic nie ginie na wieki, tylko przez pewien czas spoczywa niejako w letargu, poczem do nowego się budzi życia. I tak obchodzi teraz uroczyste swoje zmartwychpowstanie drobnostka, na którą nikt przez wieki całe nie zważał, to jest: podwiązka.

Już przeszłego roku zaczęto mówić o jej ukazaniu się — w tym roku zjawiła się rzeczywiście, świetniejsza i piękniejsza, niż kiedykolwiek. A chociaż należy do tych przedmiotów, o których nie ma się wiele mówić i których nikt nie ma widzieć, to przecież nie można zaprzeczyć, że i ona ma zajmującą historyę swego istnienia. Bo nietylko, że w literaturach wszelkich czasów ważną odgrywała rolę, i że podwiązka zgubiona, znaleziona i ukradziona bywała niewyczerpanym przedmiotem najrozmaitszych żartów, anegdot i intryg, ale nadto ma ona także znaczenie historyczne. Znane słowa królewskie: „honny soit qui mal y pense“ są najlepszym tego dowodem.

Przez wieki całe znikła podwiązka z widowni świata. Przeciwniczka mody, hygiena, uznała, że noszenie podwiązki jest szkodliwem dla zdrowia. Zastąpiono ją gumowemi tasiemkami, które przyszyte do sznurówki, przytrzymują pończochy metalowemi klamrami. Tym sposobem unika się tłoczenia poniżej kolan i nic nie wstrzymuje równego obiegu krwi. Podwiązka poszła w zapomnienie razem z flanelą i barchanem, wszystko to sprzeciwiało się szykowi i elegancyi!

A teraz istnieje pogardzona niegdyś podwiązka znowu w dawnym blasku — widać ją w wszystkich lepszych oknach wystawnych! Są podwiązki atłasowe i aksamitne, wązkie i szerokie, ozdobione ogromnemi kokardami i małemi rozetami. Widać je w najrozmaitszych naturalnie kolorach, ciemnoliliowe, czerwone do popielatych pończoch jedwabnych, jasnoniebieskie lub różowe do białych i żółtych, srebrne lub szkarłatne do czarnych i t. p. Trzeba więc mieć koniecznie co najmniej z pół tuzina takich kolorowych podwiązek, najgorsze tylko, że są one bardzo drogie, i że podobno w najbliższej przyszłości mają mieć złote spinki! Hygiena zaś musi milczeć, bo modne pod-

wiązki nic zdrowiu szkodzić nie mogą. Tasiemki gumowe, przyszyte do sznurówek istnieją nadal — podwiązka służy jedynie dla dekoracyi.

Czy jednak zajmie znów miejsce w literaturze i w historyi, tego przewidzieć wprawdzie nie można, lecz zdaje się to bardzo wątpliwem. Nie żyjemy (niestety!?) w czasach drobnych, niewinnych galanteryj i nawet królowie nie śmieliby pewnie podnieść wobec całego zgromadzonego dworu, podwiązki wybranej ich serca! I nie nadaliby jej takiego znaczenia, jak ów król angielski, który ustanowił ją jako najwyższy order państwa!

Bądź co bądź — większego tryumfu nie mogła podwiązka osiągnąć! Bo i dziś nawet noszą ją królowie i najwięksi dygnitarze jako znak najwyższej łaski królewskiej

P. Ot.

Popiołem.

Popiołem — jesteśmy,
Popiołem będziemy...
Jeśli po nad ziemię
Duchem nie spłyniemy.
Jeśli nie wykwitnie
W życiu naszem cnota —
Jeśli nie zaświeci
Wiary gwiazda złota.

Popiołem jesteśmy —
Gdyśmy ludźmi z ciała,
Jeśli się u nas w duszy
Iskra nie roztlała,
Jeśli tyle życia
Widzimy w około
Ile nam da „dzisiaj“
Spędzone wesoło.

Popiołem — jesteśmy!...
A przecież — duch Boga
Mieszka w tym popiele
Jako perła droga...
I ten duch nas wznosi
Nad wszystkie stworzenia.
On — uczczony życiem
W Anioły — proch zmienia!

Jadwiga S.

Kto jest najroztropniejszym ten też najlepszym być może prorokiem; bo roztropność jest poznawanie, obieranie i używanie środków skutecznych do końca upatrzonego.

Jan Bohomolec.



Dzik wypłoszony z kniei. (Patrz artykuł p. t. „Mój pierwszy dzik.“

Pulvis es!...*)

(Fragment popielcowy.)

Byłem wówczas w tym błogim okresie życia, do którego tak tęsknił nasz serdeczny piewca sielankowy, Władysław Syrokomla, i o którym śpiewał ten „lirnik wioskowy“:

„Gdzieżeś wieku mój młody, moje szkolne czasy,
Kiedy z wiarą młodzieńczą, z sercem i otuchą
Do grona towarzyszów i do murów klasy
Przylgłem, przyrosłem na głucho!?“

W wieczór popielcowy siedziałem nad „łaciną“ i kułem na pamięć czasowniki nieforemne trzeciej konjugacyi. Powtarzanie jednych i tych samych słów aż do nauczenia się ich na pamięć, usposobiało do snu młody mój umysł. Recytując więc wyrazy „tango, frango“, wsparty na łokciu, zasnąłem.

Po chwili śniłem.

. . . .

Wnętrze kościołka wiejskiego w dzień popielcowy.

Skromna świątynia przepełniona kornie modlącym się ludem. Przed ołtarzem siwowłosy kapłan, w fioletowy ornat przybrany, odprawia bezkrwawą ofiarę. Z boku na mensie przed ołtarzem mała tacka, a na niej garść popiołu, owego godła nicości. Poważny głos organu wtóruje szeptom modlitwy i westchnieniom pobożnego ludu.

Czuję, iż dziwnie jakoś usposabia mnie to wiejskie nabożeństwo. Może dlatego, że wśród siebie widzę ową prostą wiarę, daleką od wszelkich dociekań i nie gubiącą się w żadnem rozumowaniem kryteryum.

Kapłan kończy mszę i udziela ostatniego błogosławieństwa. Na wyrazy „Benedicat vos Omnipotens Deus“ głowy się chylą, a ręce kreślą znak krzyża.

Msza skończona... Za chwilę kapłan staje na ambonie. Podnoszę wzrok na mównicę i widzę jak na parapecie ambony sługa ołtarza kładzie zżółkłą, o wstrętnym wyglądzie, czaszkę. Dziwną na razie wydała mi się ta demonstracya symbolu śmierci.

Cisza zaległa wnętrze kościoła; lud na równi ze mną zdziwiony widokiem trupiej głowy, ze zwróconemi na mówcę oczyma czeka, aż ten zacznie mówić. Wreszcie po chwilowem oczekiwaniu rozległ się donośny, dźwięczny głos kapłana:

„Pulvis es — et in pulverem reverteris“.

„Prochem jesteś i w proch się obrócisz“ — były pierwsze słowa jego mowy, jakby „motto“ do dalszego rozwinięcia tematu.

Począł mówić, a mówił płynnie i tak przekonywająco, jakby każde wygłoszone zdanie chciał wdrożyć w umysły słuchaczów. Zapał kaznodziei wzrastał coraz bardziej. Mówił o znikomości życia i zabiegów ludzkich.

Słucham i zda mi się, że słowa na-

*) Prochem jesteś!

tchnionego kapłana wkradają mi się do serca, do duszy... Lud wzdycha, rozrzewniony mową swego plebana.

Aż wreszcie kapłan, wziąwszy czaszkę z ambony i podniósłszy ją w górę zawołał:

„Poznaj siebie, zalotna dziewico, która wdzięki swej urody roztaczasz dokoła i czarujesz niemi — oto twoja podobizna!

Spójrz na tę obrzydliwą, przez robactwo stoczoną głowę, dumny panie stworzenia, który pragniesz coraz nowych hołdów i zaszczytów, który wysoko wznosisz czoło i w swej dumie pomiatasz innymi — oto twój portret pośmiertny!

Patrz skąpcze i chciwcze, który nie zważając na honor i żadne inne względy etyczne, nie przebierając w środkach, dążysz tylko do zbierania skarbów, a obojętny na niedolę współbraci, często nawet z ich krzywdą, mienie swe powiększasz — oto co ci bogactwo twoje zapewnia!“

I tak, przechodząc wszelkie odcienia wad i występków, intryg i zdrad, kaznodzieja wskazywał na zmurszałą czaszkę.

Prochem jesteś... począł po krótkim odpoczynku. Jakże znaczenie tego wyrazu jest przerażającem dla tych, którzy za cel swego istnienia obrali sobie dewizę: żyć i używać.

Lecz są jednostki, których wyrazy te nie przerażają. Takimi są wszyscy ci, których serca czyste ożywiają cztery najwznioślejsze pierwiastki moralne: wiara, nadzieja, miłość i pragnienie wytrwania w dobrem. Te cztery pierwiastki — ów ideał człowieka duchowego — to jakby cztery bratnie dusze, chroniące od zwątpienia; człowieka ożywionego niemi, nie przeraża ostrzeżenie popielcowe „pulvis es“, lecz pogodny na duchu, uznaje on ich znaczenie, pomny, że życie to wędrówka chwilowa, pełna łez i goryczy, to ustawiczna praca i walka duchowa. Ci tylko mogą się nazwać szczęśliwymi, którzy, uznając się prochem, zabłysną czynami świetlanemi dla przykładu i dobra przyszłych pokoleń.

Kapłan skończył kazanie. W słuchaczy wstąpiła otucha. Potrafił on przekonać, że „vanitas“*) życia materyalnego i zrozumienie jego znaczenia wskrzesza daleko podnioślejsze życie ducha, uszlachetnia serca i uczucia.

Po chwili fala ludu zbliżyła się do stopni ołtarza, a siwowłosy kapłan sypał popiołem ich pochylone głowy. Za innymi przykląkłem i usłyszałem nad sobą słowa ceremonii: „Pulvis es et in pulverem reverteris“.

*) Próżność.

Podniosłem wzrok na mówiącego kapłana i... ocknąłem się. W półśnie jeszcze widziałem jego poważne i pogodne oblicze i słyszałem głoszone przezeń słowa.

Otworzyłem oczy. Na stole paliła się lampa, a przy niej rozłożona książka. Rzucam wzrokiem na jej bladą kartę i — co za dziwny traf — wyczytuję zdanie analogiczne ze słowami kapłana we śnie:

„Omnia peribunt, sed una virtus manebit.“ **)

L. B.

**) Wszystko zaginie — jedna tylko cnota pozostanie.

Energiczny.

Humoreska.

Pan Barankiewicz kochał się okrutnie w pannie Rypsi już od roku... I nic dziwnego! Facetka była morowa, o pół głowy wyższa od niego, w pasie miała pięćdziesiąt sześć, a w biodrach sto dwanaście!... Figura, panie, żeby się Fidyasz przestraszył...

Nóżek, co prawda, nie miała drobnych, ale za to rączki... no! oddaj się Bogu, jakby gruchnęła w złości! Chyba z workiem przyjść i kosteczki pozbierać!...

Stosownie do „eksteryeru“ i posag był okazały: dwie realności na prowincyi, a u papci, pana Krzysztofa kabza nabita jak ten bęben, co muzykant pałką nie rozbije...

A propos muzyki — panna Rypsyma muzykalna nie była. To jest — możeby i była, ale pianino żadne nie wytrzymało uderzenia rączek — a fortepianu stary skąpiec nie chciał kupić... Skończyło się tedy na gitarze, przy której doskonale nuciło się kuplety z „Gasparonego“ i „Wesołej wdówki.“

Panienkę zobaczył nasz bohater pierwszy raz w kościele, drugi raz w Sokole na wieczornicy — a za trzecim razem był już — jasno się wyrażając — ze swojem sercem fertig.

Było to w zimie, w nocy, wracano z wieczorku. Lekki mrozik pokrył lodem trotuary — panienka wzięła faceta pod rękę, żeby nie upaść, i... w samej rzeczy na skręcie ulicy tak się pan Barankiewicz wykopycił fatalnie, że byłby upadł jak długi, gdyby nie silna rączka panny Rypsi, która go jak dziecko w powietrzu zatrzymała...

Jakże tu było nie zakochać się?...

Myślał, myślał pan Barankiewicz, wzdychał — nie miał odwagi do oświadczyn! Urzędnik drugiej rangi, z prawem do awansu... partya niezła; nawet panna zdawała się z pewną sympatyą czy politowaniem spozierać na młodziana... Ba! cóż, kiedy jemu brakowało energii! Od dziecka był cichy, ustępliwy — bez energii... a tu do takiej pannicy trzeba jej było za dwóch!...

Dzień za dniem ulatywał, a głowa pękała od myśli, serce od miłości, buciki od mazura — jakiś koniec temu zrobić się musi... Ale jaki?... Boże! gdybym ja był więcej energiczny!...

Wreszcie — pewnego poranku „stało“ w gazecie ogłoszenie, że taki a taki pan, doktor medycyny, systemem niezawodnym, przez siebie wynalezionym wyrabia w ludziach sprężystość, przedsiębiorczość, energię!.. Skutek gwarantowany — trzeba tylko posłać ośm marek i 50 fenygów do Berlina na broszurę odnośną a niezawodną.

Zebrał się tedy nasz pan Barankiewicz, głęboką popychany miłością, na decyzyę i zaraz popołudniu następujący wysztychował list:

„Poznań, 4 grudnia 1912.

Wielmożny Panie Konsyliarzu Dobrodzieju!

Wyczytałem właśnie w dzienniku szacowny pański inserat i pozwalam sobie na zapytanie, czy i ja także mógłbym się poddać tym tak zawsze skutecznym zabiegom leczniczym Wielmożnego Pana Konsyliarza? Od najpierwszej mojej młodości cierpię na straszliwy brak energii, co specyalnie w odniesieniu do piękniejszej połowy rodu ludzkiego, jest dla mnie niesłychanie uciążliwe. A ponieważ właśnie teraz powziąłem niezachwiane życzenie wstąpienia w święty stan małżeński — do czego, jak wiadomo, zdecydowanej potrzeba energii — sądzę, że pańska wypróbowana metoda i na mnie swój błogi wywrze skutek. W tym celu upraszam o przysłanie mi pańskiej, panie Konsyliarzu Dobrodzieju, broszury pod tyt. „Jakim sposobem nabiorę energii?“ na co załączam w znaczkach pocztowych wymaganą kwotę ośmiu marek i 50 fen.

Nie potrzebuję dodawać, że zależy mi bardzo na pośpiechu — przeto proszę o przesyłkę odwrotną pocztą i piszę się Wielmożnego Pana Konsyliarza Dobrodzieja uniżonym sługą

Barankiewicz.

Z dnia na dzień wyglądał zakochany młodzieniec listowego z przesyłką tak zbawienną — niestety! prawie dwa tygodnie przeszły bez słówka odpowiedzi!... Siadł tedy jegomość do bimba i pisze:

„Poznań, 17. grudnia 1912.

Wielmożny Panie Konsyliarzu!

Przed dwoma blizko tygodniami byłem tak śmiały prosić Pana o przysłanie mi słynnej Pańskiej broszury: „Jakim sposobem nabiorę energii?“ — i załączyłem równocześnie w znaczkach listowych żądaną za to kwotę. Upraszam jak najuprzejmiej o załatwienie tej przesyłki, tem bardziej, że obecnie do wprowadzenia w czyn mego matrymonialnego zamiaru, znacznego zasobu energii potrzebować będę. Raz jeszcze prośbę moją na serce Panu Konsyliarzowi kładąc niecierpliwie przesyłki oczekuję i

pozostaję z należnym szacunkiem

Barankiewicz.“

Tydzień minął bez odpowiedzi!.. Serce faceta coraz to głośniej upominało się o swoje prawa — a tu jak na złość przesyłka upragnionego a tak potrzebnego lekarstwa nie nadchodziła!.. Poirytowany usiadł znowu pan Barankiewicz do urzędowego biurka i palnął co następuje:

„Poznań, 23 grudnia 1912.

Łaskawy Panie!

Na dwa listy moje pisane do Pana nie mam dotychczas ani odpowiedzi, ani, co gorsza, potrzebnej mi Pańskiej broszury — pomimo, że należną kwotę ośmiu marek i 50 fenygów dołączyłem jeszcze do pierwszego listu z przed trzech tygodni! Proszę więc Pana, skoro owej reklamowanej nie możesz mi przysłać broszury — o odesłanie mi moich pieniędzy.

Czekam niecierpliwie na jedno lub drugie życzliwy

Barankiewicz.“

Groch na ścianę!... Ani książki ani pieniędzy!.. A tu, panie, periculum in mora: koło panny Rypsymy zaczyna nie na żarty kręcić się kupiec korzenny, pan Gwoździkiewicz... Rany boskie! Jeżeli go ubiegnie — wszystko dyabli wezmą... i pannę i posag!...

Wściekły siadł do biurka:

„Poznań, 29. grudnia 1912.

Mój panie! Do dzisiejszego dnia nie otrzymałem od pana słówka wiadomości. Nie przysyłasz pan ani broszury ani pieniędzy. Zapowiadam tedy, że jeżeli w 24 godzinach nie będę zaspokojony, pojadę do Berlina, wszystkie kości Panu połamię, a prócz tego oskarżę go sądownie o oszustwo.

Barankiewicz.“

Odwrotną pocztą otrzymał odpowiedź:

„Szanowny Panie Barankiewicz!

Listy pańskie wszystkie punktualnie odbierałem i czytałem z wzrastającem zaciekawieniem. Odnośnie do ostatniego pisma — jesteś Pan w błędzie... bo tu o żadnej pretensyi do zwrotu Pańskich pieniędzy mowy być nie może. Kuracyę według mojej niezawodnej metody przeprowadziłem i uważam Pana za wyleczonego zupełnie. Jako dowód rosnącej i wreszcie zupełnie odzyskanej energii, załączam Panu odpisy Pańskich listów, których styl znakomicie o metodzie mojej świadczy. Gratuluję Panu serdecznie tak świetnego rezultatu i jestem przekonany, że Pan po swoim ślubie — do którego obecnie chyba nic już nie przeszkadza— będzie mnie polecał w kole swoich znajomych.

Pozostaję z należnem uszanowaniem

Dr. Lamezan.“

Co było robić? Pan Barankiewicz zacisnął pięści, nawdział frak i tego jeszcze popołudnia oświadczył się o rękę dzielnej panny Rypsymy.

Oczywiście — został przyjęty. Czy mu jednak ta odzyskana energia na długo i po ślubie wystarczy — vederemo!

Ślub w kościele u Fary odbędzie się w poniedziałek dnia 3-go lutego 1913.

„Ktoby wiedział o jakiej przeszkodzie — raczy dać znać do parafii itd.“

„Ś.“



Niewinność.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go lutego 1421 posłowie czescy zapraszają na tron Władysława Jagiełłę. — 1523 Zygmunt I. ustępuje część posagu Izabelli, matce Bony. — 1676 Szwedzi wchodzą do Częstochowy. — 1717 wojska saskie ustępują z Polski. — 1772 konfederaci barscy zdobywają Kraków.

Dnia 3-go lutego 1018 Bolesław W. zawiera traktat pokoju z Niemcami w Budzyszynie. — 1280 pobicie Lwa, księcia ruskiego pod Goślinem. — 1633 Władysław IV. przybywa na korona-



Śmieciarka.

zacya do Krakowa. — 1793 protestacya przeciw wkroczeniu Prusaków do Polski. — 1831 sejm uchwala formacyę legionów litewsko-ruskich.

Dnia 4-go lutego 1339 sąd na Krzyżaków w Inowrocławiu. — 1454 Prusacy oddają się pod opiekę Polski przeciw uciemiężeniu Krzyżaków. — 1633 pogrzeb Zygmunta III. — 1710 sejm w Warszawie po wypędzeniu Szwedów.

Dnia 5-go lutego 1189 synod w Krakowie. — 1667 uchwała sejmowa względem powiększenia wojska kwarcianego.

Dnia 6-go lutego 1296 zabicie w Rogoźnie Przemysława. — 1582 Polacy ustępują z pod Pskowa. — 1633 koronacya Władysława IV. — 1831 manifest Mikołaja z powodu detronizacyi.

Dnia 7-go lutego 1580 Stefan Batory zaprowadza cenzurę na dzieła historyczne. — 1596 sejm nadzwyczajny. — 1707 zjazd we Lwowie ogłasza za nieważną abdykacyę Augusta II.

Dnia 8-go lutego 1576 Stefan Batory zaprzysięga pacta conventa — 1698 prymas Radziejowski urządza zjazd w Łowiczu. — 1813 śmierć Tadeusza Czackiego. — 1831 sejm tworzy ustawę konstytucyjną.

Jeśli ma być pokój, niech będzie malowany, ale fundamentalny; bo w niepewnym prędzej zginiemy, ubezpieczywszy się, niżeli w wojnie.

Jan Sobieski.

* * *

Taki zwyczaj u nas w Polsce, że choć kto suknię na nice wywróci, to mówią, że to moda, i potem ta moda ma wielką komplacencyę u ludzi.

Jan Chryzostom Pasek.

* * *

Za hańbę poczytują Lechici, zawiesiwszy nieprzyjaciół porażkę, świętokradzkiemi obładowywać się łupami.

Tenże.

* * *

Sznur w kilkoro skręcony z trudnością się przerywa.

Humor i satyra.

OŚWIADCZYNY:

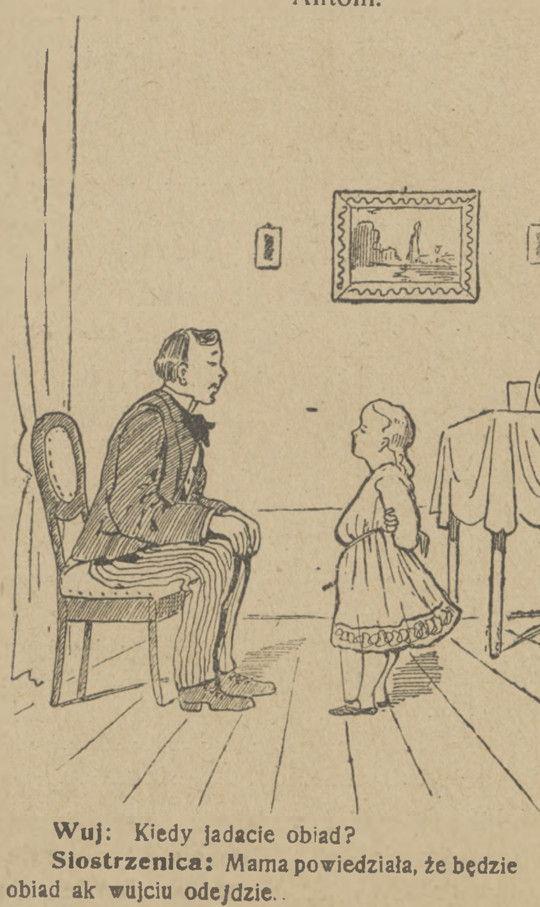
I. Bibliotekarza.

Justyno, chociaż tylko, jesteś stróża córka,
Uboga, jak z półtora arkusza broszurka,
To ja ciebie pokochał duszą, sercem całem,
Jakobyś tysiącletnim była krukiem białym,
Jakobyś trylogią była Sienkiewicza,
Nie odwracaj odemnie twojego oblicza.
Oddaj mi swoją rączkę, abym, póki żyję,
Miał z ciebie, o kochaniu encyklopedyę.

* * *

II. Stangreta.

Hanusiu, ty wiesz dobrze, jak ja ciebie pragnę!
Kiedyż ja postać twoją wiotką do się nagnę?
Czy chcesz, abym, gdy wiozę naszego dziedzica,
Galop zsiadł z kozła, albo zastrzelił się z bicza?
Lub z rozpaczy zadzierzgnął postronek na szyje?
Że takie robisz ze mną Hanuś komedyje?
Nie bądźże taka Hanuś, jak łysa kobyła,
Żebyś kochającego cię szczerze kopnęła!
Na cztery pary Hanuś zaklinam cie koni,
Twój kochający ciebie śmiertelnie Antoni.



Wuj: Kiedy jadacie obiad?
Siostrzenica: Mama powiedziała, że będzie obiad ak wujciu odejdzie.

III. Stolarza.

Tyś piękna, biała, miękka,
Jak deska lipowa,
Tereso przyjm jak pokost
Mych oświadczyn słowa.
Odkąd ciebie poznałem,
O Tereso luba,
Serce moje ścisnęła
Miłość, jako śruba.
W dzień, w noc marzę o tobie,
Teresiu motylu,
Boś piękna jako kredens,
W zakopiańskim stylu,
Gdy mi oddasz swą rączkę,
Przed Bogiem i światem,
Przysięgam, że mi będziesz
Najmilszym warsztatem...

* * *

Czego trzeba do chrztu?

Pewien proboszcz, zwiedzając wiejską szkółkę, zapytał siedzącego w pierwszej ławce pyzatego chłopca:

— Powiedz mi kochanku, ile rzeczy potrzeba do odbycia chrztu?

— Ctery, prosę ks. probosca — odrzekł bez namysłu chłopak.

— Jakto cztery?... Cóż to, nie znasz katechizmu?... — Do odbycia chrztu potrzeba tylko trzech rzeczy: intencyi ochrzcenia, wody i słowa Bożego.

— A przecie potrzeba jesce dziecka — odparł tryumfująco egzaminowany.

* * *

Rzadki święty.

— Dlaczego swemu chłopcu chcecie koniecznie dać imię Cyryaka?

— To rzadki Święty, niewielu ludzi jest patronem, więc będzie mógł lepiej opiekować się moim synem.

* * *

Najważniejszy paragraf.

— Aron Zimeles i Izydor Hintergedanke postanowili zawrzeć spółkę do handlowania „szmatami, koszcziami i inne towary galanteryjne“, naturalnie „en gros“.

Udali się tedy do adwokata, aby im sporządził kontrakt spółki. Cały dzień się biedny adwokat męczył, bo obaj, Aron i Izydor byli bardzo przebiegli i każdy chciał się wobec drugiego we wszelki możliwy sposób zabezpieczyć, wreszcie koło wieczora był już kontrakt w pięćdziesięciu paragrafach gotów do podpisu. Już, już mieli kontrakt podpisać, gdy wtem Izydor , sze złapił za głowę“.

— Aj waj! — krzyknął. — Jednemu ważnemu paragrafu mi zapomniali napisacz do kontraktu!

— Co? jaki? — zawołali adwokat i Aron razem.

— Pisz pan, panie mecenasu: Paragraf 51: „Jak spółki będże zbankrutowacz, to sze oboje spólniki dżelą po połowę z czystym zysku.“



Golibroda: Co to za osioł tak przy goleniu pana dobrodzieja pokaleczył?
Gość: Ja się sam goliłem.

* * *

Na prowincyi.

Proszę pana doktora...

— Co?! Znowu do chorego! Powiedz, że jutro przyjdę, bo jestem zmęczony, pięć nocy nie **spałem wcale.**

— Ale proszę pana doktora, ja nie wedle słabości, tylko pan radca prosi, aby pan doktor przyszedł na preferansa.

— Tak gadaj! Powiedz, że zaraz przyjdę.

Zagadka.

Nadesłała czytelniczka „Pracy“ pani Stanisława Powałowska z Dittmansdorfu w Wrocławskiem.

ar ar bis es gen ja jan jusz ka ki ko kiel kup la ler mos ni nik ry tar ty zy.

Z powyższych sylab ułożyć 8 słów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry do dołu, utworzą imię i nazwisko wybitnej literatki.

ZNACZENIE SŁÓW:

1. Człowiek bardzo uzdolniony.
2. Roślina.
3. Godność kapłańska.
4. Niebezpieczna spekulacya.
5. Postać z poematu „Pan Tadeusz.“
6. Mieszkaniec północny.
7. Tytuł nowelki „Sienkiewicza.“
8. Część armii.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej szarady.

Szan. Czytelników prosimy, aby dla zaoszczędzenia opłaty pocztowej przesyłali rozwiązania zagadek **tylko na pocztówkach.**

Rozwiązanie wypełnianki z nr. 3-go:

s	z	a	l
k	w	i	t
g	e	s	t
c	z	e	k
m	n	i	ch
h	e	b	e
p	r	o	t
u	n	i	a

Zawieszenie broni.

Tym razem nadeszło bardzo wiele trafnych rozwiązań, więc dla braku miejsca nie zamieszczamy spisu osób, które je nadesłały.

Nagrodę otrzymali: pp. Bolesław Rembowski, artysta teatru polskiego z Poznania, Rozalia Skrzypczak ze Sokolnik powiat średzki, Waleryan Krzycki z Marten i Rozalia Wieczorek z Drezna.

Nasz kącik.

Pokwitowania, odpowiedzi i sprawozdania z wyniku zagadek historycznych

W dalszym ciągu odebrałam jeszcze dla weteranów z 1863 r.: Od Ani, Halki i Zbyszka Borowskich ze Strzałkowa 6 mk. 30 fen. i od Czarnego Rycerza i Białego Orła z Inowrocławia 1 mk., dołączywszy 1 mk. od przyjaciółki z „Kącika,“ zaniosłam d. 22. 1. 87 mk. 64 f. do Biura „Straży“. Tak więc ogólna suma kącikowych składek: 130 mk. 24 f. już oddana na użytek kochanych, czcigodnych staruszków, którzy pewnie dobre dzieci błogosławić za to będą. D. 23 nadesłała jeszcze Jadzia Jarysz z Kotłowa 5 mk., ponieważ jednak składkę już oddałam, pieniądze te przekazałam „Dziennikowi Poznańskiemu“, gdzie również zbierają się grosze dla schorzałego starca-weterana. Moje najmilsze, ofiarne serduszka raz jeszcze Bóg wam zapłać za przychylenie się do mej prośby i obfitą składkę. A teraz pomówimy o Zagadkach historycznych. I. Zagadka: Jan Kazimierz — napad Szwedów — ks. przeor Augustyn Kordecki obrona Częstochowy. II. Zagadka: Obrona Trębowli — dzielna niewiasta Zofia, Anna, Dorota Chrzanowska. III. Zagadka: Odsiecz Wiednia 1683 r. — król Jan Sobieski. IV. Zagadka: Ostatni król Polski Stanisław August Poniatowski — konfederacya barska. — ks. Marek Jundałowicz. V. Zagadka: Upadek i rozbiór Polski, jej najszlachetniejszy obrońca Tadeusz Rejtan. VI. Zagadka: Naczelnik powstania polskiego ludu — Tadeusz Kościuszko. Siedm dziewczynek i pięciu chłopczyków stanęło tym razem do wyścigu zagadkowego. Prawie wszystkie wypracowania zasługują nie tylko na pochwałę, ale i na piękną nagrodę, a „Kącik“, niestety, tylko skromne może rozesłać pamiątki. Bardzo ładne są wypracowania Czarnego Rycerza, przeplatane osobistemi wspomnieniami z czasu, gdy zwiedzał historyczne miejsca — Częstochowę, Kraków, Żółkiew, Olesko i Podhorce. Równie dobrze napisali: Staś Ochenduszko, Szarotka z M., Sokół z nad Czarnej Wody i Orlik z pod Ostrowa. — Jaskółka z niewoli, Konwalijka z Neukoelln, Niezapominajka z Kostrzyna, Miłostka z Osieczny. Lilijka i Skowronek z Berlina starali się także ładnie napisać i dobrze im się to udało, tylko wypracowanie Pszczółki z Kurnika nie jest napisane tak, jak pragnę, własnemi słowami, ale dosłownie z książki przepisane. Wszyscy wymienieni otrzymają nagrodę, sadzę, że nie zważając na jej skromność, będzie ona zachętą do dalszej pracy w tym kierunku, prawda? Sprawa złych lub dobrych świadectw rozstrzyga się teraz: pracy i nauki dużo, kto nie ma czasu i podołać nie może, niech teraz nie pisuje do „Kacika“, przyjaciółka wie, że to nie zapomnienie przyczyną milczenia będzie, lecz chęć spełnienia obowiązku. Jakże za to miły będzie potem dwutygodniowy odpoczynek! W tym czasie przyda się znowu popracować trochę w rodzinnym języku. Dlatego, nie żądając bynajmniej natychmiastowych odpowiedzi, rozpocznę wkrótce nowy i ostatni już szereg „Zagadek historycznych“, co pragnę, abyście po rozwiązaniu tychże zastanowili się nad opisanemi w tych i poprzednich zagadkach historycznemi postaciami i odpowiedzieli mi na kilka zapytań. — Czterolistna Koniczynka. Gasawa. Dziękuję ci miłe dziewczątko moje za dowód pamięci i dobrego serca, ale obecnie już korzystać z niego nie mogę. Chcesz spełnić dobry uczynek, to zbieraj znaczki używane, przeznaczone na wykupienie dzieci murzyńskich, z wdzięcznością zbiera tu te znaczki p. Walent u! Rycerska. Szarotka z M. Taki krótki liścik, aż mi smutno było. Czy już po wielkich wakacyach pojedzie mój kwiatek do klasztoru? Ania, Halka i Zbyszek Borowscy. Oj, cały roczek przyjaciółka na liścik czekała! Bardzo się cieszę Aniu, że gwiazdka przyniosła ci „Rok w powiastkach“ i że lubisz twą książeczkę, a jak się Rodzice zdecydowali pokierować twą nauką? Maryś i Kazik Ochenduszkowie. Lisko. Bardzo mnie wasz liścik uradował, a czy przy czytaniu książeczki nie ma niezgody? O, bo by się przyjaciółka ogromnie martwiła! Miłostka. Osieczna. Bardzo, bardzo masz dobre serduszko i kocham cię za to, iż chcesz się zrzec nagrody, aby nią ucieszyć siostrzyczkę! Bądź zawsze taką! Pszczółka. Kórnik. Czemu w zagadkach nie było wcale liściku? Oj, pewnie, gdy jest ślizgawka, to już przyjaciółka z „Kącika“ zapomniana? Czarny Rycerz i Biały Orzeł. Inowrocław. Moje miłe chłopaczki, jakże mi żal, że już tak smutne macie wspomnienia, tem serdeczniej się pewnie wzajem kochacie, prawda? Cóż to za radość dla mnie, Rycerzu, że moja podobizna znajduje się w ramie twą reką rzeźbionej, nie cierpię leniuchów, a kocham chłopców, którzy po za pracą naukową, pracują ręcznie. Biedny mój Orzełku, czy już gardło i ucho ci nie dokucza? Jaskółka z niewoli pisze: Bardzo się cieszyłam z podanego latem projektu urządzenia zjazdu czytelniczek i czytelników „Kącika“. Myśl Sokoła z nad Czarnej Wody była doskonałą, więc przypominam ją kochanej pani i proszę bardzo, by ją do skutku doprowadziła. Bardzo bym pragnęła zapoznać się z wielu dziećmi z „Kącika“, zwłaszcza z miłą Szarotką“ i dzielnym Sokołem. Tymczasem pozdrawiam wszystkich itd. Moja ptaszyno miła, prócz ciebie, wiele już dzieci wyrażało gotowość przyjazdu, dotychczas jednak nic jeszcze pewnego powiedzieć nie mogę. Mam już zapewnioną bezpłatną gościnę w ogrodzie, przed którym staje kolej elektryczna. Lecz urządzenie poczęstunku, poinformowanie wszystkich, dużo sprawiłoby trudu i czasu zabrało, a że niestety, Matka moja obecnie wciąż na zdrowiu zapada, nie wiem, czybym podołała wszystkiemu. W każdym razie, te dzieci, których rodzice nie są przeciwni zjazdowi, niech mi o tem raz jeszcze napiszą, abym wiedziała mniej więcej liczbę małych uczestników. D. 3. 5. „Nasz Kącik“ skończy czwarty roczek, ach, jak miło byłoby wtedy zjechać się i uściskać, ale wszak dzieci same przyznają przyjaciółce, że pierwszy obowiązek przy słabej Matce spełniać posługi, niż cieszyć się z dziećmi, prawda? No, do maja jeszcze daleko, może będzie lepiej! Buzi, buzi i jeszcze raz buzi. Kochająca przyjaciółka **P. W.**

* * *

Prawdziwy obrazek z przed pół wieku.

(Ciąg dalszy.)

Nastały teraz dla Ani dni szczęśliwe. Stefek mniej wyjeżdżał z domu i nieraz całe godziny z nią spędzał, bawiąc się i ucząc ją naprzemian. Ach, jak Ania lubiła te chwile nauki! Siadała na kolanach Stefka, a on pokazywał jej literki i uczył łączyć je w słówka i zdania. Nauczyciel kochający był i cierpliwy, a mała uczennica uważna i pilna, to też wkrótce Ania nie źle już czytała i schwyciwszy ołówek, napisała z dumą swoie i Stefka imię. Stefek wyszedł z pokoju i wróciwszy przyniósł Ani maleńką, zniszczoną już trochę książeczkę do nabożeństwa „Złoty ołtarzyk“. Masz Aniu, to mój najpierwszy modlitewniczek, czytaj często te modlitewki i proś Bozi o błogosławieństwo dla nas wszystkich! Ania uściskała brata i tuląc do serduszka miły podarek, aż skakała z radości: Jestem już dużą osobą, mam książkę do nabożeństwa. A potem znowu nastąpiła gonitwa w koło stołu i ślepa babka i tak się Stefkowi udało uśpić obawy Ani, iż jej mała główka, jak gdyby zupełnie zapomniała o mającem nastąpić rozstaniu. Tymczasem w oficynie stary krawiec szył Stefkowi ciepłą czamarkę i kożuszek, a mama własnoręcznie podszywała szeroki, skórzany pas, wpierw wypakowawszy go dość sporą sumką pieniędzy. Stefek ćwiczył się w robieniu bronią, a stary leśniczy czyścił starannie zaśniedziałą trochę dubeltówkę i pistolety i szykował naboje dla panicza. — Raz, wieczorem, kiedy Ania zmówiwszy paciorek, już w łóżeczku leżała, do jej pokoiku wszedł Stefek. Dobranoc Aniu — i tkliwiej, serdeczniej niż zwykle ucałował jej buzię i rączki. Wpół senna już, zarzuciła je bratu na szyję i mocno dłoń jego ściskając prosiła: Zostań przy mnie póki nie usnę, dobrze? Już znużone powieki opadły na oczka i równy oddech zaczął pierś podnosić, gdy nagle przez buzię przebiegł jakiś bolesny skurcz; drgnęła Ania całem ciałkiem, zerwała się, siadła na łóżku i nie wypuszczając z ręki brata, krzyknęła: Stefku, czy ty dzisiaj pojedziesz? Powiedz mi, powiedz! Ale, cóż znowu Aniu, uśnij, proszę cię, przecież widzisz, że siedzę przy tobie! Ania ścisnęła rękę brata jeszcze mocniej, przytuliła ją do serduszka i wreszcie usnęła. Wtedy Stefek podniósł się ostrożnie, uwolnił swą rękę i przeżegnał siostrzyczkę. Ciężka łza stoczyła się z jego oczu na jej czółko, lecz chociaż chłopiec czuł, że już nie jest dzieckiem, tej łzy nie wstydził się bynajmniej. Gdy nazajutrz Ania wstała, na próżno płacząc szukała wszędzie Stefanka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiktor Gomulicki.

BÓJ OLBRZYMÓW.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

46)

(Ciąg dalszy.)

Car przechylał się kolejno ku temu i ku tamtemu. Pilnie słuchał deklamacyi Gruzina i argumentów Inflantczyka — przyczem niezmiernie dbał o to, żeby na stole, przy którym odbywały się narady, a zwłaszcza na jego osobistem, niezmiernie wytwornem i czystością idealną błyszczącem biurze nie postał nigdy najmniejszy pyłek. Zawsze też znajdować się tam musiała czysta, batystowa, pięknie złożona chusteczka, oraz tuzin piór, świeżo przyciętych. Oddzielny urzędnik z pensyą 3,000 rubli rocznie, zajmował się przyrządzaniem piór dla cara, któremu trudno było w tym względzie dogodzić. Każde pióro mogło być tylko raz jeden użyte, wówczas nawet, gdy car poprzestawał na wypisaniu pod jakimś papierem imieniem Alexandre — co czynił zawsze z wielką przyjemnością, kreśląc starannie litery pochyłem, angielskiem pismem i ozdabiając podpis pięknemi „wykrętasami.“

Po za gronem zaufanych urzędowych doradców, miał car jednego jeszcze poufnika, z którym porozumiewał się prywatnie. Był nim Niemiec, generał Pfuhl, jeszcze przed pięciu laty oficer pruskiej armii, którą porzucił, aby objąć przy carze nieurzędowe stanowisko instruktora i doradcy.

Pfuhl nie pochwalał żadnego z projektów, roztrząsanych na radach wojennych. Na ich miejscu stawiał swój własny, udzielany prywatnie, w cztery oczy, na przechadzce, lub przy wieczornym przeglądzie dzienników.

Projekt Pfuhla brzmiał:

— Nie przyjmować ani jednej bitwy. Nie prowadzić żadnej zgoła orężnej wojny, cofać się i cofać, ciągnąc za sobą wroga, i dbając tylko o to, aby na swej drodze nie miał ani dachu nad głową, ani kęsa chleba dla siebie, ani garstki siana dla swych koni...

Car słuchał swego doradcy najpierw z zajęciem, potem obojętnie, wreszcie z wyraźną niechęcią. Położyło koniec tej sprawie wymowne wzruszenie ramion, znaczące:

— Dość już mam tego bredzenia...

System Barclay'a de Tolly odniósł na razie zwycięstwo. Lewe skrzydło armii rosyjskiej okopało się w wielkim, dostatnim, silnemi fortami zabezpieczonym obozie pod Dryssą. Tu miano połączyć się z armią Bagrationa, przyjąć walną rozprawę z Napoleonem, potęgę jego złamać, do odwrotu go zmusić.

Car zamieszkał w obozie. Pochwalał zarządzenia swego wodza, podpisywał coraz innemi piórami przedstawiane sobie papiery i czekał cierpliwie na Francuzów. Ale i Bagrationowi przeszkadzać nie chciał, traktując pobłażliwie jego, mniej lub więcej niepomyślne utarczki z armią Napoleona.

Niestały był, niepewny, a zarazem posłuszny jakiemuś tajemnemu głosowi, który go wiódł za sobą i ufnym być kazał.

Nie rozstawał się przytem z jedną ideą, która od początku kampanii głęboko mu w duszę zapadła. Dał jej wyraz wymowny, oświadczywszy raz w zapale:

— Choćbym aż w głębiach Sybiru schronienia szukac miał, stamtąd jeszcze przeciw najeźdźcy przed światem całym protestować będę!...

Nieustannie modlił się i wzdychał: pokłony przed ikonami wybijał.

I Napoleon i Aleksander ujawniali w działaniu automatyzm. Obaj czynili chwilami wrażenie lunatyków.

Pomiędzy nimi stał mąż, nad jednym i drugim świadomością celów swych i uczuć górujący. Był nim książę Józef. Ten szedł drogą prostą, bez wahań, bez namysłów.

Książę Józef nie potrzebował kołować. W nim i przed nim wszystko było zupełnie proste. Miłość Ojczyzny, poświęcenie dla niej bezgraniczne, wierność złożonej przysiędze, czyż potrzebują rozumowań, narad i politycznej dyalektyki? Człowiek szlachetny daje się im prowadzić tak posłusznie i ufnie, jak swym Aniołom Stróżom.

Przytem ten „Alcybiades z pod Blachy“ — jeden może tylko ze wszystkich aktorów tego strasznego misteryum — posiadał znamię prawdziwego bohatera: służył wyłącznie idei swej, o sobie zgoła nie myśląc.

Księciu obojętne były zaszczyty wojenne. Gdy go oddano pod komendę króla Hieronima, prawie młokosa, zmartwił się, gdyż mu ta zależność ruchy tamowała. Ale, jako prawdziwy rycerz, karności żołnierskiej fanatyk, ani jednem mrugnięciem powieki niezadowolenia nie objawił. W roli podwładnego i w roli wodza jednakowo był wzorowy.

Gdy z kolei, z woli Napoleona, znalazł się pod Davoutem, i zmianę przyjął z prostą, służbistą postawą. Choć również pozbawiająca go samodzielności, była jednak przyjemniejsza. List, z którym zwrócił się do nowego zwierzchnika, tchnie niewymownym urokiem jakiejś prastarej, wzorowej, średniowiecznej rycerskości. Książę, jakby odkupić chcąc dawne polskie, niekarne i wichrowate „sobiepaństwo“, czynił się rozmyślnie, wzorem posłuszeństwa, ustępliwości, niemal pokory.

Choć nie dla nagrody to było czynione ,nagrodę uzyskało. Rozkaz Napoleona oddał niebawem księciu Poniatowskiemu główne dowództwo nad prawem Wielkiej armii skrzydłem.

Nie zmieniło to ani trochę jego stosunku względem towarzyszów broni. Dobrym kamratem był, dobrym kamratem pozostał. Ale miał odtąd pogodniejsze czoło, więcej żaru w oczach i jeszcze milszy — jeśli to być mogło — ust koralowych uśmiech.

O jakichkolwiek wysokiej rangi korzyściach książę ani pomyślał. Szczęście osobiste oddawna już złożył na ołtarzu pomyślności ogólnej. Jak prawdziwy pokutnik, wolny od wszelkiego samolubstwa i całego siebie na ofiarę Ojczyźnie oddający, nawet porywy serca stłumił, nawet o ukochanej kobiecie i o dziecku swem nie myśleć się starał...

Miniatura pani Czosnowskiej wraz z miniaturą synka spoczywały na dnie walizy podróżnej nie odwijane, nie oglądane...

Książę był kochliwy i był bałamut. Uczyniły go takim okoliczności, a może i dziedziczny temperament, boć przecie bratankiem był króla Stanisława. Młodość jego przypadła na schyłek wieku XVIII-go, w którym Wenus-Astarte wszechwładnie nad Wschodem i Zachodem Europy panowała. Później nieszczęście narodu i przymusowa bezczynność zniewalały go szukać w szaleństwach wielkomiejskich usypiającego duszę narkotyku.

Rozpustnikiem pospolitym, na współczesnych sobie francuskich markizach i włoskich *aventurierach* wzorowanym, nie był. Jego miłostki opromieniała pewnego rodzaju poezya. Rodzicielką ich była prawie zawsze rodzima, zdrowa fantazya, którą on po swojemu „tężyzną" nazywał.

Przytem książę, choć niezmiernie czuły, nie był ani trochę czułostkowym. Sprawy serca zwykł był załatwiać po rycersku — z rycerskością wszakże łączył sporą dozę sceptycyzmu i wykwintnego lekceważenia kobiety. Tem uczuciem zniepráwiła dusze męskie Wielka rewolucya, mająca za apostoła Woltera, a za Ewangelię — jego „Dziewkę z Orleanu".

„Książę Pepi" mógł był za kobietami szaleć, lecz sama myśl o możliwości ubóstwienia którejkolwiek, głośny śmiech przywołałaby mu na usta.

Ów sceptycyzm sprawił, że i do dzieci swych przywiązany był umiarkowanie. Nie znaczy to jednąk, że miały w nim one złego ojca. Dostatecznie stwierdzał to ów arkusz papieru, przed wyjazdem z Warszawy zapisany i w pałacu pod Blachą pozostawiony, którego nagłówek brzmiał: „Na wypadek mej nagłej śmierci". Każdemu z synów zapisywał tam książę poważną kwotę.

Zresztą serce księcia wypełniała inna, o wiele większa miłość. Jego kochanką, jego oblubienicą, jego małżonką była: Ojczyzna. W umyśle księcia nic nigdy nie zdołało tej wielkiej pani dorównać — cóż dopiero ją przewyższyć! Do Ojczyzny należało jego życie; myśl o Ojczyźnie na chwilę go nie odstępowała; Ojczyzny obraz świat mu cały zasłaniał.

Nie był książę poetą ani poezyi miłośnikiem, lecz, nakształt porannej i wieczornej modlitwy, dzwoniło mu codziennie w uszach i w sercu:

Święta miłości kochanej Ojczyzny!...
Dla ciebie więzy, pęta nie zelżywe!
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe!...

Od początku kampanii koledzy księcia i podwładni podziwiali jego stale pogodny, prawie wesoły, nastrój ducha. Mówiono, że i jemu, jak Napoleonowi, najlepiej służą niewygody życia obozowego, że dym prochu zdrowszy jest jego piersiom, niż powietrze pól i lasów.

Przybył do obozu blady, mizerny, co przypisano przebytej niedawno chorobie, wprędce jednak rumieńce i zwykłą rzeźkość odzyskał.

Zawsze wytworny, staranny w ubiorze, dbały o siebie, z małym podgolonym wąsem, z pięknie utrefionemi, sztucznemi kędziorami, mówiący po francusku jak Paryżanin, a po polsku z zacięciem mazurskiem, nosił jednak książę w sercu głęboko ukrytą, lękliwie przyczajoną, samej siebie trwożącą się — rozpacz.

Rycerz na modłę Bayarda życie lekceważył, przed śmiercią nie myślał uciekać — owszem, wiedział, że to jest i być musi wszystkich podobnych żywotów ultima linea. Testament, przed wyruszeniem w pole napisany, dostatecznie to potwierdzał. Ale nurtowały duszę księcia myśli od samej śmierci straszniejsze, przed któremi opędzał się, którym się bronił, których za wszelką cenę pozbyć się pragnął. Pod tem białem, gładkiem czołem wrzały często burze szalone, nigdy zresztą do wiadomości innych nie dochodzące.

Napoleonowi zawierzył i wiarę mu poprzysiągł. Odtąd ślepo był mu posłuszny; w nim jednym widział wodza, rozkazodawcę, pana swego życia i śmierci. Nie krytykował go — krytykować nie chciał — nie mógł...

I książę, tak samo jak Napoleon, do „walnej bitwy" się rwał, wzdychał do takiego starcia się dwóch armij, od którego ziemia i niebo zatrzęsłyby się, a cały porządek społeczny, zły i niesprawiedliwy, inaczej a rozumniej i uczciwiej się ułożył.

Tymczasem fatalność, w leniwym, rozwiązłym, pyszałkowatym Hieronimie uosobiona, zniewalała go odbywać krótkie marsze a długie postoje, i uczestniczyć, nie na własną rękę w marnych, jego imienia i geniuszu niegodnych, utarczkach.

Dopiero upadek i sromotna ucieczka króla Westfalskiego rozwiązały mu ręce. Z jakąż rozkoszą i z jakim zapałem rzucił się w pościg za Bagrationem! Należało go nie dopuścić do obozu pod Dryssą, wypędzić w błota Pińskie, do szczętu znieść lub rozbroić. Przepołowiony smok armii rosyjskiej groźnym być przestawał.

W pościgu mógł był już tu i ówdzie szable i lance polskie w ruch puścić. Rozgrzewało go to, dodawało zdrowia i animuszu. Cesarz ze swej strony upędzał się za Barclayem de Tolly. Rozlegały się tu i tam grzmoty karabinowych i armatnich wystrzałów; artylerya i piechota francuska, z pomocą walczących pod Chłopickim w legii hiszpańskiej polskich ułanów, odnosiła świetne choć dorywcze zwycięstwa — dalekie to wszakże było od tego, do czego dążono.

Cesarz niecierpliwił się. Mara, za którą gonił, wymykała mu się co chwila z ręki: nieprzyjaciel to ukazywał się, to niknął. Pożądał spotkania się oko w oko z głównym armii carskiej korpusem — zamiast niego znajdował oddzielne pułki, lub też chmarę lotnego kozactwa, które po pierwszej salwie rozlotywało się jak kruków stado, niknąc wskroś pustych, zamglonych, bezkreśnych przestrzeni.

Fantazya ludu stworzyła nimfy i syreny, boginki leśne i dziwożony, kazała ognikom błędnym tańczyć przed zbłąkanymi wędrowcami i wciągać ich nieznacznie na grzązkie bagna, do wodnych, lub skalnych przepaści, gdzie śmierc znajdowali... I przed Napoleonem tańczył taki złośliwy, niepochwytny ognik i on upędzał się za majakiem, nie widząc, że coraz bardziej z drogi prostej się zbija, że coraz groźniej spoglądają nań zewsząd: pustka, trwoga, śmierć.

Drobne utarczki podraźniły go, jak płytkie ukłócia walczącego w arenie byka — postanowił przeć naprzód za wszelką cenę, przyzywać wroga najstraszniejszemi zaklęciami, stawiać czoło samemu szatanowi...

Pewnego dnia Oudinot otrzymuje rozkaz zajęcia Połocka, Macdonald wyruszać musi pod Rygę, Reynier ma być ich obu aryergardą — sam zaś cesarz, wziąwszy ze sobą półtorasta tysięcy najlepszego żołnierza, rzuca się w głąb Rosyi, ku Witebskowi.

Prawie w tymże czasie Poniatowski z Davoutem dościgają nareszcie pod Mohilowem Bagrationa, i choć ilościowo trzykrotnie odeń słabsi, biją go i do ucieczki zmuszają.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przepowiednia kabalarki.

Z oryginału angielskiego przełożyła M. K.

6)

— Wiem co pani ma na myśli, i to niestety jest prawdą. Ja, pani, mam nieszczęście być najzapaleńszym graczem w Lacville — hrabia mówił z widocznym wysiłkiem, a Sylwia uczuła coś na kształt współczucia w swem dziecinnem sercu.

— Opowiem pani swoją historyę w kilku słowach. Byłem przeznaczony do najszczęśliwszej drogi życia do dyplomacyi. Pani widzi, że dobrze mówię po angielsku. Otóż po niemiecku i hiszpańsku równie dobrze mówię. Niestety moja matka umarła wcześnie zostawiając mi kilka tysięcy funtów. Czułem się bardzo nieszczęśliwy a co najgorsze w tym czasie byłem bez zajęcia. Pewien przyjaciel namówił mnie na wyjazd do Monte Carlo. Te parę dni, pani, zmieniły moje życie — zrobiły ze mnie to, co Anglicy nazywają „dobry do niczego". Może się pani dziwić, że przestrzegam ją przed zostaniem w Lacville?

— Bardzo to ładnie, że pani mi to mówi i dziękuję panu za przestrogę — rzekła Sylwia cicho.

Ale hrabia zaledwo usłyszał jej słowa.

— Ta pani, z którą pani po raz pierwszy do Lacville przyjechała — mam na myśli Polkę — jest mi dobrze znana z widzenia. Widziałem ją zimą w Monte Carlo, Spa, Aix les Bains, latem. Naturalnie nie zadziwiłem się, zobaczywszy ją tutaj, ale przynam się pani widząc z nią młodą Angielkę, może pani się obrazi, jeśli powiem, co pomyślałem, ujrzawszy ją po raz pierwszy w kasynie?

— O nie, niech pan mówi.

— Pomyślałem — oto lilja wśród pola obrzydliwych, brzydko pachnących chwastów i zielska.

— Ależ ja teraz nie mogę wyjechać — wykrzyknęła Sylwia, pod wpływem jego poważnych słów. — Byłoby to wcale nieładnie wobec pani Wolskiej. Napewno, jest możliwość zostania w Lacville, skoro się tylko troszkę gra; nic mi się wydarzyć nie może?

Patrzyła na niego pytająco strachliwie jak dziecko. Ale Sylwia nie była dzieckiem — była rozkoszną, upajającą kobietą, a hrabiego serce poczęło prędzej uderzać. — Ależ to było głupstwo — jego dni miłości były het po za nim. Mówiąc do niej to wszystko, myślał Francuz, że wyświadczy dobry uczynek — i dał jej najlepszą radę na jaką się zdobyć mógł.

— Nie chciałem powiedzieć, że wszyscy ludzie bez wyjątku, przyjeżdżający do Lacville są skończeni gracze — my Francuzi lekceważymy nasze przyjemności i jest dużo Paryżan, którzy przybywają, aby tu stracić lub zarobić kilka franków, i nic w tem złego nie ma; ale jednakże miałem sobie za obowiązek panią przestrzedz.

Weszli znowu w jasne promienie słoneczne, a Sylwia pomyślała sobie, że zyskała przyjaciela, rzadkiego przyjaciela w osobie hrabiego de Virien. Dużo mężczyzn, których teraz spotykała, traktowało ją jako rozkoszne dziecko — inni flirtowali dla zabicia czasu, tak jak się flirtuje z każdą piękną kobietą — inni znów zainteresowali się, słysząc o jej bogactwie i tych było najwięcej. Dlatego dziwiło ją to, a podobało się bardzo, że młody Francuz był tak zupełnie odmienny. Mimo krótkiej znajomości uczuła, że ma nieograniczone zaufanie do tego człowieka i, że on jest jej prawdziwym przyjacielem.

Zanim weszła do willi Sylwia zatrzymała się, mówiąc:

— Dziękuję panu — za pana dobroć i przestrogę. Pan wie my Anglicy mamy przysłowie „przestrzeżony jest uzbrojony". Niech pan mi wierzy, nie zapomnę, co pan powiedział i dziękuję za pana zaufanie.

Hrabia przyglądał jej się długo, wreszcie wyrzekł:

— Boję się, że prawda o mnie jest znana wielu osobom, pani przyjaciółka wie napewno o wszystkiem, pani widzi przed sobą człowieka, który stracił majątek, jaki posiadał — człowieka, który nie zna pracy i żyje z łaski krewnych.

Sylwia nie słyszała jeszcze nigdy tak gorzkich słów.

— Nawet koń, którego pani widziała rano, nie należy do mnie — jest własnością mego szwagra. Przysyła mi go każdego dnia, ponieważ siostra kocha mnie i myśli, że ucierpię na zdrowiu, jeśli będę pozbawiony tej przyjemności. Mój szwagier, mimo, że jest najszlachetniejszy ze wszystkich ludzi, nie dałby mi go, obawia się, abym go nie sprzedał, aby mieć więcej pieniędzy do przegrania.

Nastała długa, nieprzyjemna pauza, poczem hrabia przyrzucił:

— A teraz, do widzenia pani, wybacz, że swoje prywatne interesy mieszam z twoimi. Nigdy w życiu jeszcze nie uczyniłem nikomu zwierzeń — ale do pani mam dziwne zaufanie.

Sylwia poszła na górę do swego pokoju.

Była wzruszona jak nigdy. Było dla niej coś zupełnie nowego być tak blizko serca i sumienia obcego mężczyzny.

Życie jest tajemnicą pełną splątanych, nierozerwalnych nici. Ta krótka, poufała rozmowa z człowiekiem, który był nietylko nieznajomem, ale obcokrajowcem, pokazała jej wyraźnie, jak wielka istnieje różnica i jak mało kobiety i mężczyźni wiedzą o sobie. Jak mało wiedziała naprzykład o Billu Chester, chociaż o nim nic ciekawego nie było do wiedzenia. Jak mało naprawdę wiedziała o Annie Wolskiej. Zostały przyjaciółkami, a jednak Anna nie zwierzyła jej się nigdy z najmniejszej osobistej sprawy. Nie znała nawet Anny adresu w kraju.

I teraz uczuła Sylwia, że między nią a hrabią utworzyła się dziwna spójnia, której nic zachwiać nie mogło — z człowiekiem, którego jeszcze nie znała przed tygodniem. Nawet gdyby go już nigdy nie miała zobaczyć, nie zapomni nigdy, że pozwolił jej spojrzeć w głąb swego dumnego, rozgoryczonego serca. Podniósł woal, przykrywający sumienie, a uczynił to, aby ją ratować, obcą nieznaną, od tego, co wiedział z doświadczenia, iż stało się wielu osób zgubą.

ROZDZIAŁ VIII.

Dwie godziny później jadła Sylwia śniadanie z Anną Wolską w pensyonacie Malfait.

Obydwa pensyonaty Anny i Sylwii były zupełnym kontrastem. We willi du Lac wszystko było zbytkowne, eleganckie i wytworne. Pana Polperro klientela spędzała, jak się Sylwii zdawało, dużo czasu w swych pokojach na górze, albo w kasynie, a wielu miało własne motory i wyjeżdżało na dalekie przechadzki. Byli kosmopolici, choć przeważała liczba Rosyan.

Tutaj w pensyonacie Malfait goście byli Francuzi. Dużo było słychać głośnych rozmów, śmiechu i hałasu. Byli także młodzi ludzie, mający dzienne zajęcie w Paryżu. Inni tak jak pani Wolska bawili dla gry, a także niektórzy przychodzili tylko na obiady.

Pomiędzy ostatnimi ku Sylwii zdziwieniu znajdowali się państwo Wachner, ciekawe małżeństwo, których Anna jej pokazywała, jako gości z Aix-les-Bains.

Małżeństwo siedziało zupełnie naprzeciw Anny i Sylwii przy wąskim stole hotelowym — i znów jasny uśmiech zagościł na licach kobiety, skoro spojrzała na obiedwie przyjaciółki.

— Znów się spotykamy — wykrzyknęła niskim głosem nagle, zwracając się do pani Wolskiej. — To mi bardzo przypomin Aix-les-Bains, prawda pani?

Anna potrząsnęła głową.

— Jednak jest to ładne miejsce i tańsze niżby można myśleć — tu przechyliła się przez stół — co do mnie wzięliśmy małą willę osobną, męża mego znudziło życie hotelowe.

— Ależ państwo mieli także osobną willę w Aix — rzekła Anna zdziwiona.

— Tak mieliśmy naturalnie — ale ponieważ ten smutny wypadek zdarzył się wtenczas — westchnęła. — Niezawodnie słyszała pani o tem? — zwróciła się do Anny.

— Tak jest — słyszałam wszystko o tem — pani ma na myśli swego przyjaciela, który się utopił w jeziorze? — Musiało to być bardzo niemiłe państwu?

— Tak w istocie. Mój mąż nie może nigdy słuchać o tem.

A Sylwia spojrzawszy na pana Wachnera ujrzała wyraz dziwnej niechęci na jego obliczu. Jadł omlet ze spuszczonemi oczyma, nie patrząc ani w prawo ani w lewo.

— Ami Fritz — wykrzyknęła jego żona — mówiąc tym razem po angielsku — powitaj tę panią, wszak znamy się jeszcze z Aix-les-Bains, z zeszłego sezonu.

Przyjaciel Fritz skłonił się w milczeniu, nie mówiąc słowa.

— Tak — podjęła jego żona znowu — ta przykra przygoda uczyniła nam Aix nieznośnem. Spędziwszy zimę w rozmaitych pensyonatach, przybyliśmy tutaj. Jak dotychczas bardzo jestem zadowolona z Lacville.

Mimo, że mówiła złym akcentem, wyrażała się łatwo i płynnie po angielsku.

— Lacville jest rozkoszne, szczęśliwe miejsce — tym razem zwróciła się do Sylwii, a jej przyszło na myśl, że twarz tej kobiety ma podobieństwo do dużego słonecznika, tyle w niej wesela i zadowolenia.

Po śniadaniu pili we czworo kawę w ogrodzie i tu nareszcie pan Wachner przerwał milczenie, rozpoczynając z Anną dysputę nad rozmaitemi systemami gry. Twarz jego wypogodziła się i nabrała nawet sympatycznego wyrazu.

— Teraz przyszedł na swój ulubiony temat wykrzyknęła jego żona z głośnym śmiechem. Aby go zobaczyć w całej gloryi, musiałaby pani przyjechać do Monte Carlo — zwróciła się do Sylwii.

— Nie wynaleziono jeszcze systemu — którego by przyjaciel Fritz nie znał — ciągnęła dalej. — Nie może dużo ryzykować w baccarata, ale nie pozwalam mu także grac na dole, bo tylko dla dzieci lub głupców.

Sylwia zbyt mało znała się na grze, aby rozumieć dobrze panią Wachner, również nie rozumiała nic z rozmowy, prowadzonej między Anną i panem Wachnerem.

— Zostawmy ich — zawołała pani Wachner — i przejdźmy się trochę po ogrodzie. Ale zapomniałam zupełnie powiedzieć swoje nazwisko — Zofia Wachner do usług.

— A moje imię Sylwia Bailey.

— Ach — myślałam, że pani jeszcze panienka.

— O nie, jestem już wdową — rzekła Sylwia poważnie.

Pani Wachner odrzekła współczująco:

— O, to bardzo smutnie — kiedy jest się tak młodą i piękną.

Sylwia uśmiechnęła się. Pani Wachner posiadała niezawodnie dobre, gorące serce.

Przechadzały się po małym ogródku, a pani Wachner zabawiała Sylwię lekką przyjemną rozmową. Spędziły tak z pół godziny.

Państwo Wachner znali dobrze Anglię, a nawet kolonie. W Nowej Zelandyi nauczyła się pani Wachner po angielsku — mój mąż miał tam zajęcie — dodała.

— A pani? — spytała się Sylwii — utkwiwszy oczy w przecudny sznur matowych pereł.

— To moja pierwsza wizyta do Francyi — odrzekła — i bardzo mi się tutaj podoba.

— To pani już grała w kasynie — Anglicy są bardzo surowi pod tym względem.

— Nigdy dotąd nie grałam w ruletę — dopiero w ostatnim tygodniu i wygrałam 30 franków.

— To pani pewnie chce do klubu należeć?

— Tak — myśę o tem — moja przyjaciółka tak lubi grę.

— W to wierzę — obserwowaliśmy panią Wolską w Aix — dziwne, że nie mówiliśmy nigdy z nią, dopiero teraz poznaliśmy się. Ale tam mieliśmy drogiego, bardzo dobrego przyjaciela w Aix.

— Tak wiem o tem.

— Pani wie? Co pani słyszała o nim?

— Pani Wolska opowiadała mi. — Wszak pański przyjaciel utonął, prawda? musiało to być okropne dla pani i pani męża.

— To było straszne — rzekła pani Wachner — straszne.

Godzina spędzona w ogrodzie przeszła nader szybko i Sylwia zasmuciła się, skoro już był czas pójść do kasyna.

— Niech przyjaciel Fritz odprowadzi panią Wolską do kasyna — rzekła nagle pani Wachner — a my jedźmy na przechadzkę. Męczy mnie już ta ciągła gra — i pani także niedługo się znudzi.

Sylwia spojrzała pytająco na Annę.

— Ależ owszem, jedźcie na przechadzkę, przecież panie macie dużo czasu. Zamyślam całe popołudnie spędzić w kasynie — rzekła pani Wolska — wystarczy, jeżeli dopiero po podwieczorku przyjedziecie. Moja przyjaciółka nie mogłaby się obyć bez herbaty poobiedniej — rzekła objaśniająco do pani Wachner.

— Ja także lubię podwieczorek. No, więc to już postanowione. Pojedziemy na przechadzkę, a po podwieczorku zjawimy się w kasynie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W płomieniach.

(6 Z francuskiego tłumaczyła M. P.

— Jest to ciężkie zadanie po ulewnym deszczu, który godzinami padał na pistolet i na ślady nóg, — rzekł Coquenil do niezmiernie zaciekawionych towarzyszów swoich.

Zdawało się istotnie początkowo, że pies nic nie znajdzie, lecz nagle położył się na ziemi, drżący na całem ciele i zaskowyczał cicho.

— Hektor znalazł ślad! — zawołał detektyw.—Uważajcie panowie! Hektor, allons! allons!

Pies podniósł się natychmiast i z spuszczoną głową biegł spokojnie przez Pola Elizejskie, zwrócił się na ulicę Franciszka I., potem na ulicę Clement-Marot, rzucił się jednym skokiem na chodnik i nagle stanął.

— Stracił ślad! — rzekł ojciec Tigol zmartwiony.

— Naturalnie, — zawołał Coquenil, śmiejąc się, — tutaj bowiem wsiadł morderca do dorożki. Bardzo to jasne! Nikt pistoletu nie ruszył, od chwili, w której ów mężczyzna wyrzucił go, po spełnieniu zbrodni, przez okno numeru 7.

— Chciałeś pan powiedzieć szóstego, — poprawił pan Gorice.

— Nie, siódmego! Wiemy teraz, gdzie morderca wsiadł do dorożki. Przekonajmy się, którędy wyszedł z hotelu. Napowrót, Hektorze!

Pies posłuszny szedł tą samą drogą aż do miejsca, gdzie ślad znalazł, i czekał tam na dalsze rozkazy.

— Nadzwyczajny pies! — zauważył pan Gorice z szczerem uznaniem. — Jakiej właściwie rasy?

— Belgijski pies owczarski, — odrzekł Coquenil. — Zapłaciłem za niego pięćset franków, lecz nie oddałbym go za nic w świecie.

Na rozkaz detektywa pobiegł Hektor naprzód i zatrzymał się wkrótce przed jakiemiś drzwiami, na które rzucał się, wyjąc i szczekając. Były to drzwi w murze, odgraniczającym hotel Ansonia od przyległego dziedzińca.

— Tędy więc wyszedł ów mężczyzna, — rzekł Coquenil. Potem otworzył drzwi i zajrzał za nie.

Mur zbudowany był z polerowanego granitu — w równych odstępach stały przy nim świerki, odcinające się efektownie od ciemnego, szarego kamienia.

Coquenil wyjął elektryczną latarkę i zwrócił płomień ku ziemi, na której znajdowało się mnóstwo śladów butów. Widocznie chodziło tu dużo mężczyzn.

— Co to znaczy? — spytał detektyw.

— Szukaliśmy tu pistoletu, — szepnął Tigol nieśmiało. — Pan Gibelin kazał....

— Jaka szkoda! Nie znajdziemy nigdy śladu nóg mordercy! Ale czekajcie! Jak daleko przeszukaliście ganek?

— Aż do końca muru! Pan Gibelin nie myślał ani na chwilę, że za murem może być jeszcze coś godnego widzenia!

Coquenil odetchnął i pobiegł do miejsca, gdzie wązki ganek wiódł na lewo aż do bocznej ściany hotelu. Tu zaświecił znowu lampką i niezmiernie ucieszony, spostrzegł na ziemi jeden wyraźny ślad nóg — było to najlepszym dowodem, że szedł tędy jeden tylko mężczyzna — do hotelu i z hotelu.

— Wpuścimy tu Hektora, — rzekł, — abyśmy się już dokładnie przekonać mogli. — Szukaj Hektor!

Pies popędził naprzód, szukał z początku wolno i ostrożnie, przykładał nos do ziemi, zwrócił się na lewo, i stanął przed zamkniętemi drzwiami, wiodącemi do — numeru 7!

— Otóż mamy dowody! — zawołał Coquenil. — Panie Gorice, czy to jest pokój pod numerem 7?

— Tak!

— Proszę, otwórz pan drzwi!

A podczas kiedy pan Gorice, zmieszany szukał klucza, zwrócił się detektyw do Tigola:

— Muszę mieć odciśnienie tych butów — najlepsze, jakie być może! Weźcie gliceryny i gipsu i zabierzcie się zaraz do dzieła. Możecie zrobić jeszcze kilka innych odciśnień, rozumiecie?

— Zupełnie!

— Pies zostanie dla pewności tutaj. Leżeć, Hektor, i uważać!

Pies położył się, lecz oczy jego duże, inteligentne, zdawały się patrzeć z wielką uwagą na całe otoczenie.

Teraz wszedł Coquenil w towarzystwie pana Gorica na schody, oglądając się przy świetle lampki na wszystkie strony. Gdy stanęli przed zamkniętemi drzwiami, rzekł:

— Więc to jest numer siódmy!

— Tak!

— Są te drzwi zawsze otwarte?

— Nie, one są zawsze zamknięte.

— Teraz nie, — zawołał detektyw naciskając klamkę. Drzwi otworzyły się natychmiast — światło lampki rozjaśniło pokój — zupełnie pusty.

— Za ciemno tu, — rzekł pan Gorice i nacisnął guzik światła elektrycznego. W jednej chwili zajaśniały liczne lampy, ocienione różowemi zasłonami i wtedy można było poznać zbytek z jakim pokój ten był urządzony.

Coquenil wytężał wzrok, lecz nie znalazł nic, co mogłoby go wprowadzić na jakiś nowy ślad.

— Nie ma tu nic nadzwyczajnego, — rzekł, — tylko to jedno, że drzwi od kurytarza są zamknięte na rygiel. Rygiel sam nie mógł się zasunąć, nieprawda, panie Gorice?

— Nie! — westchnął hotelista.

Coquenil zamyślił się na chwilę.

Potem wziął pistolet, obejrzał go starannie i otworzył drzwi na kurytarz wiodące. Stał tam zawsze jeszcze policyant na straży, przed numerem szóstym.

— Teraz ja wejdę do tego pokoju, — rzekł do policyanta, kłaniając się nizko.

— Czy pan tu jeszcze długo zostanie? — zapytał nieśmiało pan Gorice, upadający z zmęczenia.

— O tak, bardzo jeszcze długo! — brzmiała stanowcza odpowiedź detektywa.

— Pan jest może przyzwyczajony do tego, ale — ja — ja nie mogę się już dłużej na nogach utrzymać! Godzina czwarta! Pozwól mi pan wrócić do łóżka!

— Ależ naturalnie kochany panie! Dam sobie radę sam, bez pana! Słyszałem jednak, że u pana sławną jest kawa, gotowana na sposób turecki. Nie kazałbyś mi pan podać filiżanki kawy?

— Natychmiast! Już!

I zwrócił się ku drzwiom, lecz na progu zatrzymał się raz jeszcze, i spoglądając na ścianę, dzielącą ich od numeru 6-go, rzekł.

— Chcesz pan iść — tam?

— Tak!

— Acha, pewnie, aby zobaczyć, czy kula z tego pistoletu odpowiada kuli, którą ten biedak.....

— Nie, to należy do pana Jouberta! Ja mam ważniejsze sprawy do załatwienia! Dobranoc!

— Jak gdyby mogło być coś ważniejszego nad to, — szepnął pan Gorice z pewnem niedowierzaniem.

ROZDZIAŁ VII.

Coquenil przekonał się, że z znalezionego pistoletu padł jeden strzał tylko, i że to przed kilku godzinami stać się musiało. Połączywszy to z zeznaniem krawczki i z dowodami, dostarczonemi przez Hektora, można było mieć wszelką pewność, że pistolet był własnością mordercy Pomimo to stał detektyw z zmarszczonem czołem. Morderca był niezaprzeczenie w pokoju pod numerem 7, i nie mógł wyjść na kurytarz, ponieważ drzwi zaryglowane były na wewnątrz. Zamordowany jednak leżał w numerze 6-tym i tam go zastrzelono. Jak się dwa te fakta zgadzały z sobą?

Zamyślony wszedł Andrzej Coquenil do pokoju, w którym morderstwo spełnionem zostało. Przez chwilę chodził tu i tam i oglądał uważnie każdy przedmiot, nie patrząc wcale na trupa. Potem wrócił znów do numeru 7-go, gdzie żądana kawa stała już na stole, obok filiżanki pudełko z wyborowemi papierosami egipskiemi. Bardzo to było uprzejmie z strony pana Gorica! Coquenil usiadł wygodnie na kanapie, oparł się o jedwabne, miękkie poduszki i w głębokich pogrążył się myślach. Ale nie trwało to długo.

Ojciec Tigol wszedł z oznajmieniem, że odciśnienia gipsowe już skończone. Coquenil wskazał mu fotel i stary policyant zajął miejsce.

— Powiedzcie mi, — zaczął detektyw, — co myślicie o tem?

I wyciągnął rękę w kierunku japońskiego miedziorytu, wiszącego na ścianie obok bufetu.

— To? Wcale na to nie zwróciłem uwagi, — odrzekł Tigol zmieszany.

— Żartujecie!

— Ani nawet nie widziałem tego obrazu! Jaką obraz ten może mieć styczność z naszą sprawą?

— Widzicie, ojcze Tigol, — rzekł Coquenil, paląc z widoczną przyjemnością wonnego papierosa, — siedzę tu i myślę, co się może znajdować za tym obrazem! Niepewność ta ma dla mnie pewien urok! Uważacie mnie może za szalonego, a przynajmniej nie za zupełnie normalnego, co? Patrzycie na mnie tak dziwnie! No, jeżeli jesteście także ciekawi, to zdejmijcie ten obraz z ściany!

Tigol wykonał bez namysłu rozkaz detektywa.

— Co u licha! — zawołał. — W ścianie są dwie dziury!

Rzeczywiście — na białej tapecie widoczne były dwie okrągłe dziury, o przeciętnej szerokości niespełna jednego centymetra, i w niewielkiem, mniej więcej trzycalow m od siebie oddaleniu. Otwór znajdujący się bliżej bufetu otoczony był mnóstwem maleńkich, czarnych punkcików, tak jak gdyby kto ścianę był posypał mielonym pieprzem.

— Ślady prochu! — szepnął Coquenil. — Strzelił on z bezpośredniej bliskości — wtedy, gdy biedny Martinez patrzał z drugiej strony w otwór. Ztąd ów strzał w oko.

— A pan Gibelin i ja przeszukiwaliśmy tak starannie cały numer szósty! I nie znaleźliśmy nic! — szeptał ojciec Tigol zawstydzony.

— Draperye były tam zawieszone.....

— Tak, naturalnie! Potrząsaliśmy je z całej siły, ale nie przyszło nam na myśl zajrzeć, co się za niemi znajduje.

— Kto wie, czy i ja byłbym otwory te zauważył, gdybym nie był spostrzegł na podłodze odrobiny żółtego próchna.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni złożony kawałek papieru i pokazał Tigolowi kilka ziarnek grubego, żółtego piasku.

— Widzicie, pokoje są tu przedzielone lekkiemi ścianami drewnianemi, grubości cala, tak, że mając dobry świder, można w krótkim czasie otwór w ścianie wywiercić Ale przytem spadają na ziemię próchno i trociny, które owa kobieta bez wątpienia za okno wyrzuciła.

— Kobieta?

— Tak, ona pomagała Martinezowi.

Tigol patrzał na detektywa z otwartemi ustami.

— To pan myślisz, — rzekł po chwili, — że otwory te zrobił Martinez? Zamordowany?

— Naturalnie! Kręcenie świdra wskazuje to wyraźnie, idźmy do numeru szóstego! Przekonacie się sami!

Gdy weszli do sąsiedniego pokoju, podał Coquenil Tigolowi kawał papieru i rzekł:

— Przyciśnijcie ten papier mocno do korka buta zamordowanego. Tak mocno, aby się wszystkie gwoździe odznaczyły. Tak — dobrze — teraz wykrójcie odciśnienie to nożyczkami i uklęknijcie tu, koło kanapy. Weźcie moją lupę.... widzicie to — obok ogona srebrnego ptaka? Porównajcie to z odciśnieniem.....

Tigol wykonywał wszystko, co mu detektyw kazał, potem spojrzał na niego z wyrazem szczerego uwielbienia i rzekł:

— Sapristi! Pan jesteś doprawdy czarodziejem! A ja jestem starym osłem! Ale teraz powiedz mi pan, na co były otwory te potrzebne zamordowanemu?

Twarz Coquenila spochmurniała.

— Tak, — szepnął, — o to właśnie chodzi! Może dowiemy się o tem od kobiety, która tu z nim była! Ktoś mu pomagał, inaczej musiałyby tu leżeć jeszcze trociny. Ktoś podniósł draperye, podczas kiedy Martinez wiercił otwory i ktoś zabrał potem świder z sobą.

— Acha! Portyera była podniesiona, gdy strzał padł, — dodał Tigol po chwili namysłu, — potem spuszczono ją i zakryto otwory. Morderca w numerze siódmym zdjął obraz, zanim strzelił, i potem zawiesił go znowu na gwoździu.

— Zapewne! — potwierdził Coquenil.

— Ale w takim razie musiał morderca wiedzieć o tem, że Martinez wywierci otwory! — mówił Tigol dalej. — Musiał z pistoletem w ręku stać w numerze siódmym i czekać aż otwór będzie gotowy. I musiał zgasić światło, inaczej byłby go Martinez widział.....

— Brawo! — zawołał Coquenil, którego słowa Tigola zaczęły zajmować.

— Patrzał on pewnie przez otwór pierwszy do numeru szóstego, podczas kiedy Martinez pracował nad otworem drugim. Pan wiesz zapewne, który otwór był najpierw zrobiony?

Coquenil promieniał.

(Ciąg dalszy nastąpi).